W NUMERZE: KRYTYK, REDAKTOR I WYDAWCA — ECHA SPOZA MURÓW KLASZTORNYCH — AKADEMICKIE KOŁO KRESOWE W KRAKOWIE

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK IX. Nr 45 (437)

NIEDZIELA, 6 LISTOPADA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

EMIGRACJA, „MIASTO OTWARTE”?

Doszedł już do Londynu tekst przemówienia wicemarszałka sejmu reżymowego i profesora filozofii Uniwersytetu we Wrocławiu, dra Stanisława Kulczyńskiego, które wygłosił on na inauguracyjnym zebraniu „Towarzystwa Łączności z Wychodźstwem — Polonia“. Wydaje mi się, iż z wielu względów jest rzeczą pożądaną, aby główne fragmenty tego przemówienia znane były emigracji w pełnym brzmieniu. Dlatego na wstępie artykułu rejestruję te cytaty (podkreślenia w cytatach pochodzą od autora niniejszego artykułu):

„Zebraliśmy się — mówił Kulczyński — aby przedyskutować i zastanowić się nad wnioskami i życzeniami, jakie wpływają do kraju od kół i stowarzyszeń wychodźstwa polskiego rozsianych po świecie.“

„...Polska należy do krajów posiadających najliczniejszą emigrację. Za granicami kraju przebywa około 6 milionów Polaków, tworząc często znaczne skupiska ludności polskiej, kultywujące narodowe tradycje i podtrzymujące związki łączące je z krajem. Olbrzymią większość tych ludzi wygnała z kraju panująca w okresie międzywojennym nędza. W toku drugiej wojny światowej setki tysięcy ludzi opuściło kraj. Wielu synów naszego narodu walczyło na różnych frontach drugiej wojny światowej u boku armii sojuszniczych, męstwem swym budząc podziw świata. Dalsze rzesze Polaków i Polek wywiózł z ojczyzny hitlerowski okupant.“

„...Mimo iż w ostatnich czasach liczba powracających stale wzrasta, jest rzeczą oczywistą, **że poważna jeszcze część wychodźstwa polskiego,** zachowująca tradycje narodowe, **złączona jest więzami gospodarczymi, społecznymi a często także rodzinnymi z krajami, w których przebywa.“**

„...Społeczeństwo w kraju może i powinno przyjść z pomocą swym rodakom na obczyźnie w umacnianiu ich polskości, w krzewieniu kultury narodowej; w ten sposób realizować będzie cele ogólnonarodowe i przyczyni się do zacieśnienia przyjaźni z narodami, wśród których uchodźstwo polskie żyje, **pełniąc rolę ambasadorów polskiej kultury i szczytnych polskich tradycji.“**

„...Stawiamy sobie za cel przede wszystkim niesienie pomocy stowarzyszeniom i organizacjom Polonii zagranicznej w pielęgnowaniu i rozwijaniu kultury narodowej.

„Szczególną opieką otoczyć chcemy dzieci i młodzież, niosąc pomoc w organizowaniu nauki języka polskiego, historii i geografii kraju ojczystego, w zaopatrywaniu szkół polskich za granicą w niezbędne podręczniki i książki szkolne.

„Umacniając więź z krajem dążyć będziemy do zaznajamiania Polaków na obczyźnie z życiem społecznym, gospodarczym i kulturalnym Polski Ludowej.

„Pragniemy rozszerzyć formy **bezpośredniej łączności wychodźstwa z krajem przez organizowanie wycieczek zbiorowych dla odwiedzania rodzin, pamiątek i miejsc historycznych, miejsc kultu religijnego, zabytków kultury itp.**

„Celem naszym wreszcie jest umacnianie więzów przyjaźni i braterstwa z narodami, wśród których przebywa nasze wychodźstwo. Jesteśmy głęboko przekonani, że na tym polu możemy zdziałać niezwykle wiele, przyczyniając się do pogłębienia zaufania między narodami, do wzajemnego bliższego poznania się — a co za tym idzie — do utrwalenia pokoju na świecie.“

„Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem „Polonia“ pragnie nieść pomoc całemu wychodźstwu polskiemu — wszystkim uczciwym ludziom naszej emigracji. **Pragniemy otoczyć swą troską zarówno tych, którzy myślą o powrocie do kraju, jak i tych, których względy rodzinne, gospodarcze lub inne zatrzymują poza krajem.**

„Drodzy Przyjaciele!

„Naród polski jest jeden. Wspólne są nasze tradycje i nasza kultura. Wspólna jest historia naszej ziemi ojczystej. Wspólna jest nasza duma, iż jesteśmy Polakami. Polska jest matką wszystkich uczciwych Polaków, bez względu na miejsce ich zamieszkania, niezależnie od ich światopoglądu, pochodzenia; jest matką tych wszystkich, których łączy wspólne pragnienie, by ojczyzna nasza rozkwitała, by otoczona była czcią i szacunkiem narodów świata. Zjednoczmy nasze wspólne wysiłki, umacniajmy łączące nas święte więzy. Jesteśmy synami jednej Matki — ukochanej Polski!“

Trzeba powyższe fragmenty przeczytać wolno i kilkakrotnie. Co zdanie, jakaś nowa zasadzka, co słowo, jakiś podstępny zamiar, nie mówiąc już o emetycznej ckliwości tej szachrajskiej mikstury, zwłaszcza w jej końcowych zdaniach. Czytać to jednak i studiować trzeba, gdyż z tych podstępnych zdań i projektów wyłania się groźna zapowiedź, która jest skierowana przeciwko całej emigracji.

„Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem — Polonia“ jest rzecz prosta jedynie dekorum zewnętrznym. Jest nim w dużym stopniu również i skład członków oraz zestaw władz (zestawienie tej listy wydrukujemy w dziale „Archiwum“ w następnym dodatku naszego pisma, w „Życiu Kraju“). Poza tą dekoracją stoją dobrze uzbrojone biura i szeroki plan działania na środowiska emigracyjne. Ale utworzenie tego Towarzystwa pozwala na dokładniejsze zrozumienie kierunku i rodzaju uderzenia komunistycznego na polską emigrację polityczną.

Pierwszym etapem realizowania planu była propaganda powrotu. Widać dzisiaj już dokładnie, że w rzeczywistości była ona jedynie przygrywką i pociągnięciem manewrowym. Reżym komunistyczny w Polsce doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że w obecnych warunkach może wrócić, przy najsilniejszym nawet nawoływaniu, minimalna liczba uchodźców. I nie o to mu wcale chodziło i chodzi.

Istotnym celem komunizmu jest zamiar dopadnięcia emigracji w jej ośrodkach i rozbrojenie na miejscach, na których pozostaje. Ba, marzy im się — jak z cytowanych tekstów wynika — coś więcej! Rozbrojoną emigrację chcą oni uczynić swoim narzędziem propagandowym, narzucić emigrantom „rolę ambasadorów polskiej kultury i szczytnych polskich tradycji“. Mało tego, chcą uczynić z emigracji również narzędzie m a n e w r o w e w obrębie społeczeństw, w których emigracja żyje. Bo jeśli jest przy tym mowa o zadaniu „wzajemnego bliższego poznania się“, to o jakiego rodzaju poznanie się chodzi, czy nie o poznanie i głoszenie „nowej rzeczywistości“, jaka zapanowała w Polsce?

Śmiały plan, nie ma co mówić!

Odczyt Kulczyńskiego i wszystkie statuty oraz odezwy jego Towarzystwa oznaczają, iż reżym zamierzył odebrać wychodźstwu jego status emigracji politycznej. Bo polityczną każda emigracja pozostaje tylko do tej chwili, do której przeciwstawia się stosunkom politycznym, jakie panują w kraju. Z chwilą, gdyby uznała te warunki, przestaje być polityczną, staje się emigracją z przypadku. I tego reżym chce. Jeśli koniecznie już chcecie siedzieć za granicą, to sobie siedźcie, ale dlaczegoż by nie przyjeżdżać z wizytą do Polski, dlaczego by nie wziąć pieniędzy na biedne emigracyjne szkoły polskie, dlaczegóż by nie przyjąć dużej przesyłki podręczników? Że w tych podręcznikach geografia będzie bez połowy Polski, a historia bez prawdy? Ależ to w gruncie rzeczy drobiazg. Czyż nie najważniejszą rzeczą jest to, że „wspólne są nasze tradycje i nasza kultura“ i że „jesteśmy synami jednej Matki — ukochanej Polski“!

Uwaga! Tylko patrzeć, a zacznie się wrogi nalot. Trzeba decydować szybko. Czy ogłosimy nasze społeczeństwo emigracyjne jako „miasto otwarte“, z drogami rozwartymi na oścież, czy będziemy się bronić? Sytuacja jest przy tym na pewno mniej wysilająca, aniżeli sytuacja Warszawy podczas Powstania. Nie będzie trupów i nie będzie krwi, nie będzie głodu. Będzie potrzebna tylko karność, czujność, wytężenie myśli i trochę niewygód. Czy więc będziemy się bronić?

Wysuwano już na emigracji w czasie „powrotowej“ fazy, zwłaszcza po ucieczce Hankego, różne pomysły zacieśnienia obrony. Ale wszystkie te pomysły miały charakter środków mechanicznych. Reżym zaopatrzył swoje ekspozytury w duże środki materialne i w liczny sztab ludzi. Będzie się to na pewno wciskało przez wszystkie możliwe szczeliny. Jakież tedy środki mechanicznej obrony i zapobiegliwości inwigilacyjnej będą w stanie przeciwdziałać temu wścibstwu? Zapobiec może tylko jedna rzecz: wzmożenie jak najpełniejszej świadomości politycznej emigracji. Przypomnienie raz jeszcze istoty walki, unaocznienie, iż okres bitew znowu się zaczął i porwanie ludzi do tej bezkrwawej, ale rozstrzygającej rozprawy.

Może nigdy dotąd, od pełnych lat szesnastu, nie stało przed emigracją tak wielkie zadanie, jakie stoi w tej chwili. Zaczynają bowiem iść światem rzeczy rozstrzygające.

J. K.

ALFONS BRONARSKI

PRAWDA O ŻYCIU KATOLIKÓW W POLSCE

FORMY I METODY PRZEŚLADOWAŃ

Porównując bolszewizm z analogicznymi ruchami rewolucyjnymi w historii, autorzy znakomitych w tym przedmiocie publikacji, których liczba wzrasta z roku na rok, stwierdzają, że równie groźnego przewrotu nie znają dzieje, bo ani najazdy barbarzyńców, ani wielki kryzys moralny, jaki przeszła Europa w dobie protestantyzmu, ani rewolucja francuska nie wstrząsnęły tak głęboko życiem narodów jak to zrobił komunizm rosyjski.

Komunizm jest rewolucyjnym ruchem totalistycznym, który chce przekształcić całkowicie człowieka w stosunku do niego samego, do społeczeństwa i Boga, a równocześnie przekreślić wszystkie tradycyjne zdobycze kultury chrześcijańskiej. W tej swojej ofensywie, podjętej w imię nowej koncepcji świata, komunizm napotkał na jedynego niezłomnego przeciwnika, którym jest Kościół. Wszyscy znawcy bolszewizmu stwierdzają jednogłośnie, że nauka chrześcijańska nie da się pogodzić z marksizmem i leninizmem. Stąd nieuchronny konflikt, którego jesteśmy świadkami. Komuniści mieli odwagę — mimo wszystkie niefortunne doświadczenia swoich poprzedników w tym względzie, a ostatnio hitleryzmu — podjąć walkę przeciw instytucji, której „bramy piekielne nie przemogą“, co więcej przekonani są o swym zwycięstwie.

ISTOTA WALKI

Że celem komunizmu jest całkowite zlikwidowanie Kościoła, to jest pewnikiem, w który nie wątpią nawet tzw. „księża patrioci“. Jesteśmy więc świadkami gigantycznej, apokaliptycznej walki — walki szatana z Bogiem — prowadzonej przez marksistowsko-leninowskich strategów posługujących się taktyką niezmiernie wyrafinowaną i konsekwentną przeciw instytucji Boskiej opartej na opoce Piotrowej i mającej zapewnioną pomoc Ducha Św.

Demoniczny charakter komunizmu podkreślił papież Pius XII, stosując do niego słowa św. Pawła: „Walczymy przeciw potęgom ciemności“. O demonicznych objawach ruchu komunistycznego wspomina wielu autorów prac poświęconych temu zjawisku. Jest m. in. jeden aspekt szczególnie zastanawiający. Pismo Święte nazywa Szatana „kłamcą od początku wieków“. Otóż bolszewizm uczynił z kłamstwa jedno z głównych narzędzi, którym posługuje się stale w całej swej działalności. Uczy kłamstwa swych zwolenników i nawet dzieci. Ogólne zakłamanie charakteryzuje cały ruch bolszewicki. Szatańska jest maska obłudy, którą nakłada komunizm: świadome szerzenie nienawiści zamiast miłości chrześcijańskiej; pycha objawiająca się w szaleńczej nieumotywowanej zasadami potwornej ambicji opanowania całego świata. Inne kryterium pozwalające dopatrzeć się ingerencji ducha złego, zbuntowanego przeciw Bogu i naturze — to podważanie podstaw prawa naturalnego, którego dopuszczają się komuniści.

W encyklice „Divini Redemptoris“ papież Pius XI przestrzega przed hipokryzją bolszewizmu w tych słowach: „Ateistyczny komunizm przedstawił się od początku takim, jakim jest w całej swej przewrotności, ale wkrótce spostrzegł się, że w ten sposób oddalał ludy od siebie. Zmienił więc taktykę i stara się przyciągać tłumy przez różne oszukaństwa, ukrywając swoje cele pod pozorami ideałów, które są same w sobie dobre i ponętne.“ Do takich ponęt należy w stosunku do katolików i innych chrześcijan: patriotyzm.*)

Perfidia systemu komunistycznego objawia się naprzód w podstępnym podejściu w stosunku do jednostek, które komuniści pragną przyciągnąć na swoją stronę, uciekając się do metody tzw. reedukcji, tzn. przeobrażenia wewnętrznego mentalności i sumienia, rozprzęgając harmonię i jedność ich osobowości, dzięki środkom technicznym, jakimi bolszewizm dysponuje.

W odniesieniu do życia społecznego, a przede wszystkim do społeczności religijnych, znajdujemy tę samą grę podstępną, granie na strunie patriotyzmu, co przejawia się np. w samej nazwie „księży patriotów“.

ZASTOSOWANE METODY

O metodach rozbijania jedności Kościoła katolickiego, przede wszystkim wśród duchowieństwa, o moralnej sytuacji kleru w krajach za żelazną kurtyną, informuje nas doskonale niewielka rozmiarami, lecz wstrząsająca swą treścią, opartą na bezpośrednich przeżyciach, broszura zakonnika, który podpisał ją nieautentycznym zapewne nazwiskiem A. Michel: praca pt. „Problèemes religieux dans un pays sous régime cummuniste“ (Editions Fleurus, Paris 1955). Przedstawione w tej publikacji wypadki dotyczą Czechosłowacji, lecz mutatis mutandis dają też obraz sytuacji w Polsce.

Przedstawiony w tej broszurze dramat przeżywany przez duchowieństwo wyższe i niższe jest przejmujący do głębi duszy. Zgadzając się na współpracę z reżymem, w granicach dozwolonych przez moralność chrześcijańską, biskupi narażają się na danie zgorszenia księżom i wiernym. Stając w opozycji, narażają się na pogwałcenie żywotnych interesów Kościoła. Dotyczy to przede wszystkim obsadzania stanowisk kościelnych, wikariuszów generalnych, proboszczów i wikarych. Z drugiej strony księża pozbawieni opieki biskupiej, sami muszą decydować w kwestiach zasadniczego znaczenia, w chwili, kiedy rodzą się skomplikowane zagadnienia, wymagające szczególnej ostrożności. Wszystkie rozporządzenia, listy pasterskie wychodzące z Kurii biskupich przechodzą przez Urząd dla spraw religijnych. Autentyczność otrzymywanych stamtąd dokumentów nie jest nigdy pewna. Księża czują się szpiegowani w swej działalności: przy nabożeństwach i nawet w konfesjonale. Nieodczytanie listów pasterskich o podejrzanej autentyczności może ich narazić na represje ze strony rządowej, odczytanie może zgorszyć wiernych. Wymaganie od księży popierania akcji Towarzystwa Przyjaciół Związku Radzieckiego, albo Ruchu Zwolenników Pokoju, stawia ich w trudnym położeniu wobec wiernych, odmówienie naraża ich wobec reżymowych władz. Decyzje byłyby łatwiejsze, gdyby wszyscy księża zajęli jednolitą postawę. Ale właśnie dla rozbicia jedności reżym wyłania umyślnie problemy, mające na celu wywołanie coraz większego rozłamu. Ponadto wprowadza celowo ferment między wyższym duchowieństwem i niższym, przeciwstawiając bogatszych uboższym, ferment walki klasowej. Podobno jednak akcja ta nie wydała pożądanych rezultatów.

Najcięższy los spotkał zakony. Wszyscy zakonnicy zostali postawieni przed tym dylematem: przejścia do obozów czyli tzw. klasztorów koncentracyjnych, lub wystąpienia z zakonu, względnie kongregacji, przy czym pozostawia im się możność objęcia parafii w charakterze świeckich księży. Opornych powołuje się do wojska. W obozach koncentracyjnych, dla lepszego rozbicia jedności, zwykłych zakonników oddziela się od ich przełożonych, a niektóre specjalnie jakoby niebezpieczne zakony, np. jezuici, są w ogóle od reszty izolowane.

Sytuacja katechetów jest niezmiernie trudna. Szkoła wpaja w młodzież zasady ateistyczne, które katecheci winni są prostować, choćby z narażeniem się na represje ze strony rządowej, ale grozi to też odwołaniem ich z zajmowanych stanowisk i zastąpieniem przez mniej godnych nauczycieli. Uczęszczanie dziecka na naukę religii uzależnione jest zresztą od zezwolenia władz, na prośbę wniesioną przez ojca dziecka. Podpis matki nie wystarcza. Władze sowieckie wiedzą bowiem, że ojcowie rodzin, bardziej niż matki od reżymu zależni, trudniej się zdecydują na umieszczenie swego podpisu pod taką prośbą. Tendencją rządów we wszystkich krajach za żelazną kurtyną jest w ogóle całkowite zlikwidowanie nauki religii w szkołach; do celu tego dążą one konsekwentnie i cel ten już w niektórych, a może i we wszystkich krajach osiągnęli.

Natrafiwszy na trudności w wywołaniu rozłamu tj. schizmy wśród duchowieństwa w dziedzinie wiary, komuniści nie żądają już od niego podporządkowania się w zakresie ich ideologii, ale tym bardziej domagają się tego w dziedzinie życia politycznego, społecznego i obywatelskiego, wiedząc że w ten sposób jedność frontu zostanie łatwiej rozbita. Nakładając liczne obowiązki społeczne na księży (brygady pracy, udział w kursach wykształcenia politycznego), komuniści wiedzą, że część księży uchyli się od tych wymagań i takich likwidują, inni zaś, którzy ulegną, zaniedbywać się zaczną w swych obowiązkach duszpasterskich, co właśnie jest pożądane.

TRUDNOŚCI DUCHOWIEŃSTWA

Przez stosowanie powyżej przedstawionych metod, komunistom udało się wprowadzić nieufność między częścią duchowieństwa, a wiernymi. Wpływa na to brak jedności między duchownymi w stosunku do zarządzeń władz reżymowych. Ci z księży, którzy przyjmują współpracę w granicach nawet dozwolonych, zrażają wiernych, zdających sobie dobrze sprawę, że są też duchowni odmawiający jej. Jeśli zakonnik przyjmie ofiarowane sobie probostwo, naraża się na niebezpieczeństwo wywołania zgorszenia, bo wierni porównując go z bardziej nieustępliwy-

(Dokończenie na str. 2)

*) W stosunku do innych wyznań są inne przynęty: wobec islamu wyzyskiwany jest moment rasowy, wobec buddyzmu — niszczenie klasztorów bonzów i pagód. (F. Dufay: En Chine l'Etoile contre la Croix. Paris 1954. str. 121).

PRAWDA O ŻYCIU KATOLIKÓW W POLSCE

(Dokończenie ze str. 1)

mi uważać go będą za mniej godnego kapłana. Co więcej, reżym zasiał nieufność między samymi duchownymi, których poglądy na aktualne problemy są często sprzeczne. Reżymowi udało się, jak twierdzi autor książeczki „Problèmes religieux", rozbić jedność duchowieństwa w dziedzinie dyscypliny kościelnej.

Komuniści doprowadzili do podziału kleru na trzy kategorie. Do pierwszej należą tzw. „księża patrioci", którzy dają pełne poparcie rządowi bezbożnemu. Postawa ich nie da się, z punktu widzenia wiary katolickiej, usprawiedliwić. Na szczęście stanowią oni grupę najmniej liczną w krajach za żelazną kurtyną. Do drugiej zalicza się księży, których można by nazwać ugodowcami w dodatnim zresztą tego słowa znaczeniu. Ich nastawienie w stosunku do reżymu jest pozytywne, jednak nie w tym stopniu co „księży patriotów". Ograniczają oni swą współpracę do najkonieczniejszego, dozwolonego z punktu widzenia moralnego, a mogącego, zdaniem ich, zapewnić modus vivendi odpowiadający interesom Kościoła. Przy tym rozumują ci księża w ten sposób, że wchodząc w współpracę materialną nie formalną, nie gwałcą zasad moralności, dozwalającej w pewnych wypadkach na tego rodzaju postępowanie — jak tego istnieją przykłady w historii Kościoła — wyboru mniejszego zła. W ten sposób pragną zapewnić Kościołowi i wiernym pewne korzyści, których w przeciwnym razie ci ostatni byliby pozbawieni. Początkowo mieszani z „księżmi patriotami", i dlatego przez wiernych nie obdarzani sympatią, dzisiaj znaleźli u nich więcej zrozumienia.

Trzecią grupę stanowią księża opozycyjni, odrzucający wszelką współpracę z reżymem, nawet w kwestiach podrzędnej wagi, przynajmniej tak długo, dopóki Kościół nie otrzyma wystarczających dla godnego spełniania swej misji gwarancji. Postawę taką zajmują ci księża dlatego, aby nie wywołać zgorszenia i nie dać powodu do przypuszczenia, że Kościół aprobuje w czymkolwiek akcję bezbożników, choćby to miało sprowadzić na nich prześladowanie i karę więzienia. Postawa tej grupy księży, zresztą najliczniejszej, jest najkonsekwentniejsza. Niestety, są oni najbardziej prześladowani przez reżym i istnieje obawa, że działalność ich coraz bardziej będzie ograniczana. Istnieje też niebezpieczeństwo, że reżym z czasem zdoła zastąpić ich przez „księży patriotów", jeśli uda mu się uśpić czujność wiernych często nie rozróżniających między tymi ostatnimi, a księżmi drugiej kategorii. Jak tragiczne jest położenie księży, wynika z faktu, że postawieni w sytuacji przymusowej, nie mogą oni nawet zająć stanowiska neutralnego. W jednym z numerów „Kuźnicy", organu „księży patriotów" ukazał się niedawno artykuł niejakiego ks. Goreckiego, w którym daje on wyraz temu, co najwięcej reżymowców boli: chodzi nie o to, co księża nierezymowi na ambonie mówią, bo na to znajdzie się środek (więzienie i obozy), ale o to, czego nie mówią, a czego wierni sami się domyślają. Pisze więc wspomniany autor artykułu: „Jeśli parafianie pod amboną nigdy nie usłyszą aprobaty dla tego co się dzieje wokoło, zmiarkują, że coś w naszej Polsce ludowej jest chyba nie w porządku, skoro proboszcz znacząco milczy". W słowach tych maluje się cały dramat katolików za żelazną kurtyną. Dyktatura totalitarna nie pozwala być biernym i nakłada na obywateli więzy nieporównanie cięższe niż ustrój kapitalistyczny, bo wyzyskującymi są nie jednostki, lecz państwo, a ofiarą wyzysku cały naród.

Przypatrzmy się z kolei sytuacji moralnej wiernych za żelazną kurtyną. Jak widzieliśmy, komunizm nie stawia w zasadzie przeszkód w praktykowaniu wiary. W Polsce rząd bolszewicki wydał nawet w odpowiedzi na sankcje zawarte w Dekrecie papieskim z 13 lipca 1949 r. tzw. Dekret o wolności sumienia. W przytłaczającej atmosferze, panującej w krajach okupowanych przez Rosję sowiecką, szczerzy katolicy, którzy zachowali wiarę, a takich jest większość, szukają w niej pocieszenia. Nawet oziębłejsi lub obojętni, jak to jest częstym zjawiskiem w takich warunkach, odradzają się wewnętrznie przez prostą reakcję psychiczną i w żywszy wchodzą stosunek z Kościołem. Tym się tłumaczy owo tłumne nawiedzanie kościołów, zwłaszcza w Polsce, o którym mówią wszyscy, powracający stamtąd do zachodniej Europy. Jest to tym bardziej znamienne, że mimo wszystko, katolik uczęszczający do kościoła narażony jest na różne szykany i niebezpieczeństwa. Choć reżym toleruje praktyki religijne, wiadomą jest jednak rzeczą, że ich sobie nie życzy. Wiemy, że w czasie pierwszej okupacji ziem polskich przez Sowiety, na początku wojny, karano przystępowanie do Sakramentów św., a we Lwowie aresztowano nawet kilka osób za udział w nabożeństwie majowym. (L. Kania: La bolchévisme et la religion, Rome, Magi-Spinetti édit. 1945, str. 93.) W każdym razie reżym każe godzić swoje przekonania i praktyki religijne z zupełną lojalnością w stosunku do władz państwowych bezbożnych. Staje się to naturalnie źródłem stałego konfliktu w sumieniach katolików. Jak pogodzić te dwie sprzeczności? Jak przedstawia się rozwiązanie tego dylematu w jego praktycznych konsekwencjach? Najprostszym pozornie i najbardziej pożądanym przez reżym sposobem byłoby przystąpienie do Partii. Ale pominąwszy wszelkie inne względy, uświadomiony katolik wie, że tego Kościół swym wyznawcom zabrania. Niemniej niepokojące dla katolika pytanie, czy działając choćby pod przymusem, np. w okresie wyborów, kiedy reżym domaga się czynnego udziału w nich, nie staje w sprzeczności ze wskazaniami Kościoła, wyłania się na każdym niemal kroku. Wykształcony katolik zna zapewne różnicę między formalną a materialną współpracą i na tej podstawie szukać może rozwiązania swoich trudności, niewykształcony pozbawiony jest tego kryterium. W warunkach normalnych udałby się może o poradę do władzy kościelnej. Co ma robić jednak wierny, którego proboszczem lub wikarym jest „ksiądz patriota", do których nie ma zaufania, a nie ma możności udania się do innego? W Polsce, po podpisaniu porozumienia między Kościołem a rządem powstało bardzo skomplikowane zagadnienie udziału duchownych i świeckich w życiu i działalności państwa. Zagadnienie to wymagało oficjalnych oświadczeń Episkopatu, duchowieństwa i katolików świeckich (por. J. Szułdrzyński „Położenie Kościoła w Polsce" („Kultura" 1953, 5 zeszyt, str. 25). Co mówić o trudnościach, na które napotyka jednostka zdana sama sobie.

KONFLIKTY SUMIENIA

Jakież to ciężkie problemy sięgające do głębi sumień muszą się wyłaniać u katolików, pracujących we wszystkich zawodach. W zawodach wolnych nie daje się to może tak bardzo odczuwać, choć np. adwokaci, a czasem nawet i lekarze, pozostają w zależności od władz reżymowych. Ale co powiedzieć o tych, którzy bezpośrednio współpracują z organami rządowymi: urzędnicy, sędziowie, którym przychodzi wymierzać sprawiedliwość według komunistycznego, z etyką katolickiego niezgodnego, kodeksu, wojskowi organizujący armię na wzór czerwonej, dziennikarze, dla których istnieje tylko możliwość współpracy z organami prasy przez rząd kontrolowanej, nawet pisarze i poeci, którzy wydanie swych dzieł powierzać muszą komunistycznym koncernom wydawniczym, a tekst obowiązkowo poprzedzać hołdowniczymi oświadczeniami pod adresem wodzów bezbożnego materializmu?

Ze wszystkich zawodów najtrudniejszym do wykonywania w obecnych warunkach jest może nauczycielski. W jak ciężkiej moralnej sytuacji znajduje się niejeden wierzący nauczyciel, pomny słów Chrystusa o „zgorszeniu danym jednemu z tych najmniejszych", a z drugiej strony znajdujący się pod presją propagandy komunistycznej, wywieraną ze szczególną satysfakcją właśnie w tej dziedzinie. Wykonując swój zawód w duchu chrześcijańskiego wychowania dzieci, naraża się na to, że zostanie ze szkoły usunięty, zaniedbując tę stronę swojej działalności, wie, że działa ze szkodą dla powierzonych sobie dusz tej młodzieży.

Z drugiej strony, na jakie konflikty moralne są narażeni rodzice, zmuszeni do oddawania swych dzieci do szkół publicznych wiedząc, na jakie zgubne wpływy są tam narażone przez nacisk wywierany na formację ideologiczną przez obowiązkową lekturę dzieł treści komunistycznej, przez udział w brygadach pracy itd. Jak zyskać zaufanie dzieci, które szkoła buntuje przeciw rodzinie, zachęcając je nawet do donosicielstwa, zwłaszcza w dziedzinie religijnej i dążąc do zaszczepiania w nich nienawiści do księży. Oto fakt, który zdarzył się wprawdzie w Rosji sowieckiej, mógł jednak równie dobrze zdarzyć się w innym kraju za żelazną kurtyną: z okazji świąt wielkanocnych urządzono w sekrecie w rodzinie chrześcijańskiej, zdawało się nietkniętej wpływami bolszewizmu, tradycyjne „święcone". Kiedy podano do stołu „babę wielkanocną", ku ogólnemu zdziwieniu dziecko należące do tej rodziny odmówiło i na żaden sposób nie chciało się dać nakłonić do skosztowania tego specjału. Zdziwieni rodzice zaczęli wypytywać je o przyczynę tej kategorycznej odmowy. Po długim wahaniu dziecko zdecydowało się dać odpowiedź, mówiąc: „bo to śmierdzi księdzem" (L. Kania, op. cit. str. 101).

Na tle tej sytuacji występuje cała olbrzymia odpowiedzialność i szkodliwość ruchu tzw. „postępowych katolików", (książka i pismo ich przywódcy zostały niedawno potępione przez Stolicę Apostolską). Ich obronić nie można argumentem, że współpracują z komunistami w myśl zasady wolności wyboru mniejszego zła, ani że współpracują z nimi tylko materialnie, a nie formalnie, bo ich współpraca jest spontaniczna i kompletna. To, przed czym przestrzegają znawcy komunizmu, jak np. o. Dufay, aby nie nawiązywać gromadnie dialogu między katolikami a bolszewikami, bo to grozi porażką, wobec przewrotnych metod tych ostatnich, na które katolik nie może odpowiedzieć równie wykrętnymi sposobami, to oni właśnie czynią, dając się wciągać w dyskusje, które potem wyzyskane będą na niekorzyść prawdziwych katolików. Oni świadomie ograniczają wolność Kościoła w dziedzinie akcji społecznej, poddając go pod tyranię państwa marksistowskiego, a ta ich postawa potwierdza wywody wyrażone w subtelnym studium mgr. B. de Solages pt. „Les dangers du progressisme", że „katolicy postępowi", zapoznają pierwiastek nadprzyrodzony, pochłonięci całkowicie zagadnieniami doczesności i ideałami rewolucyjnymi.

CHWALCY FAŁSZYWEJ DOKTRYNY

Ze wszystkich ofiar komunizmu najbiedniejsi są ci, którzy dali się opanować tej fałszywej doktrynie i znaleźli się w szeregach czynnych burzycieli chrześcijańskiego porządku a budowniczych przyszłego komunistycznego ustroju. Dla nich nie ma Boga, jest tylko jedna wszystko obejmująca prawda: partia, której jednostka winna jest poświęcić się całkowicie i w niej się niejako rozpłynąć. Nie ma nieba, jak nie ma duszy nieśmiertelnej. Śmierć? Lecz i tutaj dla ofiary komunizmu nie świta żadna nadzieja nagrody za przebyte cierpienia, czy zamiany na lepsze nieszczęśliwego bytu. Śmierć bowiem otwiera tylko wrota do nicości. Tak więc życie jednostki związane tylko z bytem ziemskim nie ma żadnego celu transcendentalnego. Być męczennikiem dla sprawy wiary lub ojczyzny ma swój sens głęboki i wzniosły, być męczennikiem partii, w nadziei choćby budowania w ten sposób szczęścia przyszłych pokoleń czerwonej Rosji jest bohaterstwem, przeciw któremu protestuje zdrowy rozum, przynajmniej ludzi Zachodu, bo opiera się ono na pozbawionym moralnych podstaw heroizmie. Taka beznadziejność nadaje komunizmowi ponure oblicze bezgranicznego smutku.

Często w dzisiejszych czasach zadają sobie ludzie pytanie, czy w zdarzeniach, których jesteśmy świadkami nie należy widzieć przepowiedzianych w Ewangelii wypadków, mających poprzedzić koniec świata.

Co może utwierdzić w przekonaniu, że żyjemy w epoce przepowiedzianych fałszywych chrystusów i proroków, to fakt, że bolszewizm mimo swej antyreligijnej postawy, przybiera istotnie pozory fałszywej religii, dając tym zresztą dowód, że człowiek bez religii obejść się nie może. Już Papież Pius XI zwrócił uwagę w swej encyklice „Divini Redemptoris" na ideę fałszywego odkupienia i na fałszywy mistycyzm, które cechują komunizm. Biskup Sheen w swym dziele „Communism and the conscience of the West" przeprowadził ciekawą paralelę między zasadami wiary chrześcijańskiej a tym, co możnaby nazwać dogmatyką bolszewizmu. Według jego zestawień Trójcy Świętej odpowiadałaby bolszewicka trójca: kapitał, praca i komunizm oparta na heglowskiej trójcy: tezie, antytezie i syntezie. Chrystusowi Mesjaszowi przeciwstawia się mesjanizm proletariatu; Mistycznemu Ciału Chrystusowemu w Kościele — mistyczna społeczność kolektywizmu; Królestwu Bożemu po śmierci — raj ziemski. Biskup Sheen zresztą przypomniał, że rosyjski pisarz K. Leontiev przepowiadał przed pierwszą wojną światową, że antychryst wyjdzie z narodu rosyjskiego.

We wspomnianej już pracy „Communisme ou Christianisme" mgr Journet, który zresztą nie odrzuca a priori tezy, że przeżywamy okres poprzedzający koniec wieków, przytacza wyjątek z dokumentu, który wpadł mu do rąk, a pochodzi od wysokiego urzędnika sowieckiego. Z tego dokumentu widać do jakiego stopnia komunizm przybrał pozory fałszywej religii. Oto co mówi ów urzędnik: „Partia komunistyczna w związku radzieckim jest rodzajem kongregacji zamkniętej, wymagającej od swych członków wykonywania dodatkowych prac, oprócz zawodowej, obserwowania dokładnego ideologii i żelaznej karności we wszystkich okolicznościach. — Jakiekolwiek by były nadzieje kandydatów, wiedzą oni mniej więcej, że partia jest kościołem, co więcej kaplicą zarezerwowaną dla elity w świątyni bezbożnictwa. — Element nieracjonalny, uczuciowy, religijny odgrywa w tym zjawisku niewątpliwą rolę. Zdarzają się wypadki samobójstw nie tylko w razie wykluczenia z partii, ale i za zwykłą naganę i nawet w razie odmowy przyjęcia. — Mało było w historii państw tak zbliżonych do teokratycznego ustroju, jak Związek Radziecki. Partia ze swoją hierarchią — to kler. Zakres roli Stalina jest równocześnie niezmiernie szeroki i ograniczony, jak Papieża w Kościele."

Dokument ten zawiera jeszcze na końcu następujące ciekawe wyznanie: „Reżym jest uwielbiany, kochany, znienawidzony... Jest bogiem, ojcem najlepszym, przyjacielem, demonem". (Ch. Journet, l. c. str. 15 i nast.)

Komuniści wprowadzili nawet karykaturę spowiedzi. Pisze o tym ze zgrozą o. Dufay. Oto co mówi: „Bardziej jeszcze niezwykłe, o ile to możliwe (była mowa o seansach nocnych z tzw. „opowieściami o nieszczęściach własnego życia"), są tygodniowe spowiedzi żołnierzy. Każdy wyznać musi przed swą kompanią swoje grzechy popełnione przeciw ideałom komunistycznym, co więcej, własne grzechy nawet najsekretniejsze. W czasie tej publicznej „spowiedzi" można widzieć tych penitentów płaczących, tarzających się po ziemi z rozpaczy. Podczas wielkich „rekolekcji" „spowiedzi" te wymagane są od wszystkich biorących w nich udział, ze szczególnym naciskiem na szczegóły i intensywność wyznań. Przedmiotem samooskarżeń są błędy całego życia popełnione we wszystkich dziedzinach, nie wyłączając najintymniejszych tajemnic życia rodzinnego i małżeńskiego. Atmosfera panująca na tego rodzaju zebraniach nie da się opisać. Trzeba jej samemu doświadczyć. Ofiary tych zebrań dochodzą do przekonania, że komuniści wiedzą wszystko, że czytają myśli penitentów, że nie ma innego wyjścia jak całkowite wyznanie wszystkiego, wszystkiego." (J. Dufay, op. cit. str. 168-169).

Bez wątpienia stoimy w obliczu niebywałego w dziejach Europy zmagania się dwu potęg: Kościoła i bezbożnictwa, przy którym bledną prześladowania z epoki Kulturkampfu, lub krwawe sceny z okresu wojen religijnych. Trzeba się cofnąć do czasu prześladowań pierwszych chrześcijan, aby znaleźć podobne objawy moralnego kryzysu i upadku. Dodajmy jednak, że starożytni Rzymianie prześladując chrześcijan tolerowali inne wyznania, nie wyłączając Żydów, komunizm zaś wydał wojnę wszystkim religiom. W sytuacji tak groźnej, jaka powstała, optymizm wydać się może nie na czasie. Czyż istnieją jakie nadzieje? Żaden optymizm nie byłby chyba tu uzasadniony, gdyby nie upoważniała nas do niego obietnica Chrystusa Pana, zapisana przez Ewangelistów w słowach o niezwyciężonej opoce Piotrowej, „której bramy piekielne nie przemogą".

Istotnie, wszyscy znawcy komunizmu, na których świadectwa powoływałem się w ciągu niniejszej pracy, podzielają ten optymizm. Tak np. bardzo ostrożny w wyrażaniu swoich poglądów co do dalszej ewolucji wielkiego konfliktu ideowego, o. Dufay daje temu wyraz, choć nie wątpi, że od triumfu ostatecznego chrześcijaństwa dzieli ludzkość droga jeszcze długa i żmudna. Mgr Journet kończy swoje studium tymi słowami pełnymi nadziei: „De toute façon nous n'avons pas à craindre. La victoire est à nous". (W każdym razie nie mamy się czego obawiać. Zwycięstwo jest nasze.) Optymistyczne są też wnioski, do których doszedł biskup Sheen w swej książce. Zwrócił on uwagę na ciekawy fakt, że najwybitniejsi pisarze i poeci rosyjscy XIX wieku przepowiadali bliską rewolucję w Rosji połączoną z prześladowaniem wiary (Pecherin, Lermontof, Tjuszew, Czaadajew, Dostojewski, Chomiakow, Sołowiew), ale przewidują też późniejsze odrodzenie religijne Rosji. Uczony biskup amerykański jest zdania, że przeżywamy okres zamierania przeżytej już cywilizacji. Przewiduje z nastaniem nowej ery cywilizacyjnej odrodzenie religijne ludzkości, w którym naród rosyjski odegrać ma dużą rolę. Przypuszczenia swoje opiera biskup Sheen na wrodzonej religijności tego narodu, na zdolności cierpienia i na zmyśle wspólnoty, które znalazły swój wyraz nawet w komunizmie i jego religijnych aspektach, o których wyżej była mowa. A w końcu, last but not least, jest Objawienie w Fatimie, w którym wyraźnie zapowiedziane jest nawrócenie się Rosji.

Alfons Bronarski

*) Artykuł stanowi skrócony tekst referatu wygłoszonego w Kole „Veritas" we Fryburgu.

W. TERAJEWICZ — Z NIEDAWNYCH WSPOMNIEŃ

AKADEMICKIE KOŁO KRESOWE W KRAKOWIE

Pamięci Ks. Wł. Bukowińskiego

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie w ciągu swego z górą 500-letniego istnienia zbierał młodzież żądną nauki, często z ziem odległych od Krakowa, a w okresie rozbiorów bez względu na granice zaborów.

Po pierwszej wojnie światowej oddał w odrodzonym państwie wielu swych nauczycieli Warszawie, Poznaniowi i Wilnu, gdzie powstały nowe polskie uczelnie. Ale też ściągnął pod swoje opiekuńcze skrzydła profesorów Polaków, którzy byli wychowankami rosyjskich uniwersytetów i po rewolucji bolszewickiej powrócili do Polski, objęli katedry i po polsku, często jednak w języku pełnym rusycyzmów, godnie i dobrze uczyli swych wychowanków.

Krakowska Szkoła Sztuk Pięknych, mająca wielkie zasługi i znana szeroko przez swych nauczycieli i uczniów została w Polsce niepodległej przemianowana na Akademię Sztuk Pięknych.

I w Krakowie też, w pobliżu Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, odrodzone państwo powołało do życia Akademię Górniczą, rosnącą szybko i wkrótce przemianowaną w Akademię Górniczo-Hutniczą.

Do tych trzech uczelni krakowskich, po skończonej wojnie polsko-bolszewickiej, zaczęła ściągać młodzież z tzw. Kresów, z Podola i Wołynia przede wszystkim, z ziem zajętych przez bolszewików po traktacie ryskim. Mniej licznie była reprezentowana młodzież z Wileńszczyzny. Wielu miało poza sobą służbę w wojsku polskim. Starsi i bardziej doświadczeni zawiązali w roku 1922 Akademickie Koło Kresowe, do którego zaczęli się garnąć studenci i studentki z Uniwersytetu, Akademii Górniczej i Akademii Sztuk Pięknych. Jako organizacja międzyuczelniana Koło Kresowe szybko stało się ośrodkiem, zbierającym wszystkich kresowców, którzy się znaleźli na wyższych studiach w Krakowie. Przy placu Jabłonowskich 19, niedaleko Uniwersytetu i ówczesnego budynku Akademii Górniczej, w niewielkiej starej kamieniczce pierwsze piętro zostało oddane przez magistrat „prześwietnego stołecznego miasta Krakowa" na użytek Koła Kresowego. Zarząd Koła z dużą zapobiegliwością zdołał zainteresować swą organizacją władze Uniwersytetu i obu Akademii, jak również przedstawicieli starszego społeczeństwa i władze miejskie. Owo starsze społeczeństwo — to byli również przeważnie kresowcy lub rodziny z Kresami związane. Kresowców w Krakowie w owym czasie było wielu i chętni byli do współpracy z młodzieżą.

Koleżanki od początku istnienia Koła brały wybitny i czynny udział we wszystkich pracach. Jedna z nich, studiująca historię, była w ciągu kilku lat bardzo pracowitym i wybitnym wiceprezesem Koła. Wzbudziła ona podziw i zazdrość kolegów, kiedy w czasie wizyty marszałka Focha w Krakowie, zdołała otrzymać jednego wieczoru dwa autografy: Focha i Piłsudskiego. Podpisali się obaj w jej albumie, jeden obok drugiego.

Żaczki krakowskie, owe „chudziny liche", jak ich nazwano w jednym z pism studenckich, mieli wiele potrzeb. Otwarto więc jadłodajnię w Kole, otrzymano od miasta stary barak wojskowy, który pomieścił trzydziestu kilku mieszkańców. Nazwano go szumnie „Ogniskiem na Kamiennej", ponieważ stał przy ulicy Kamiennej, daleko od centrum. I tak wtedy każdy kresowiec nowoprzybyły na studia do Krakowa zjawiał się w Kole Kresowym i tam zaraz zaopiekowano się nim jak swoim, dzielono z nim to, co do podziału było. Samopomoc materialna stała się pierwszą potrzebą Koła, a starania o niezbędne pieniądze były najtrudniejszym zadaniem zarządu.

Imprezy towarzyskie Koła Kresowego miały swą ustaloną tradycję w Krakowie. Na zwykłe zebrania i zabawy wystarczała mała sala we własnym lokalu, bal doroczny, urządzany wspólnie ze starszym społeczeństwem, odbywał się w salach Starego Teatru. Jedną z imprez warto przypomnieć: pewnego razu w czasie jednej z zabaw, przedstawiono taniec kostiumowy pod tytułem „ostatni mazur". Wypożyczono z teatru mundury ułańskie, dla pań białe krynolinki, a dla pianisty odpowiedni frak z żabotem. Próby odbywały się w tajemnicy przed pozostałym gronem kolegów. Zaskoczenie było całkowite, kiedy w czasie zabawy, gdy tańczono już na dobre, jeden z gospodarzy zapowiedział przerwę. Zgaszono światła, wniesiono kandelabry ze świecami, zapanowała cisza. Wszedł pianista w swym stylowym fraku z czasów pierwszego cesarstwa. Rozpoczął grać mazura i na salę wypadły jedna po drugiej cztery pary jakby zjawy z „Pana Tadeusza". Ów „ostatni mazur" odtańczono tak dobrze, tak nastrojowo, że gdy ponownie zapalono światło elektryczne wydawało się, że istotnie była tu przed chwilą piękna zjawa z przeszłości, co wtargnęła w teraźniejszość.

W statucie Koła, zatwierdzonym przez władze akademickie, oprócz samopomocy materialnej i organizowania życia towarzyskiego, duży nacisk został położony na stronę ideową stowarzyszenia. I to z perspektywy czasu i przemian, jakie zaszły w Polsce, zasługuje na przypomnienie.

Zarówno młodzież jak i starsze pokolenie Polaków z Kresów zdawało sobie sprawę, że ziemie wschodnie Polski, owe tzw. Kresy, stanowiły ważny teren ekspansji politycznej i ekonomicznej dla odrodzonego państwa. Rewolucja bolszewicka i wstrząsy społeczne, które ona niosła, znane były aż nadto dobrze Polakom, którzy zmuszeni byli opuścić swą ojcowiznę i szukać schronienia w rdzennej Polsce. Wiedziano, że burza nie ucichła, że groźba ze Wschodu trwa.

W Krakowie, stolicy Jagiellonów, uchodźcy z Kresów, którzy tu przybyli na studia, zamyślali o powrocie na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, gdy studia owe ukończą. Przygotowanie się do tego było niejako niepisanym zobowiązaniem każdego członka Akademickiego Koła Kresowego. Podstawą polityczno-społecznego programu tej ambitnej garstki młodzieży stała się idea Jagiellońska. Wyobrażano sobie, że przez nawiązanie do okresu największej ekspansji kulturalnej i polityczno-geograficznej Polski, kierunek ideologiczny, oparty na tradycji Jagiellońskiej, pozyska z czasem zwolenników, wśród tzw. mniejszości narodowych: Ukraińców przede wszystkim, Białorusinów, Litwinów. Jakże bardzo Kraków, miasto tak bogate w tradycje historyczne, nadawało się do przygotowania młodzieży kresowej do tych trudnych zadań, które sobie wówczas postawiła. Chciano pracować dla Kresów, Kresy owe wiązać z resztą Polski, a przede wszystkim znaleźć wspólny język z rdzenną ludnością ziem wschodnich, pozyskać i przyciągnąć owe rzesze obojętne, a nierzadko wręcz wrogie wszystkiemu, co było polskie.

Zaczęto organizować zebrania dyskusyjne z referatami na tematy społeczno-polityczne. Zapraszano na referentów osoby z grona profesorów lub starszego społeczeństwa. Ci zaś z członków Koła, którzy mieli możność spędzenia wakacji na terenach kresowych, mieli za zadanie wygłoszenia referatów na tematy, oparte na własnych obserwacjach. W czasie jednego z takich powakacyjnych zebrań dyskusyjnych młody referent z wyraźnym żalem zaznaczył, że rola dworu polskiego, tak doniosła niegdyś, coraz to maleje. Zabrał wtedy głos w dyskusji ówczesny kurator Liceum Krzemienieckiego, który jako wybitny gość brał udział w tym zebraniu. Powiedział on, iż i jego zdaniem, rola dworu polskiego na Kresach już przeszła do historii i nie należy się rozczulać nad tym, co ma już tylko historyczną wartość. Dziś, po drugiej wojnie światowej, wydaje się, że głos kuratora Liceum Krzemienieckiego był wtedy niejako głosem wieszczym!

Zebrania, czy zabawy urządzane przez Koło Kresowe miały zawsze wielu uczestników, gdyż panował tam odpowiedni, miły nastrój. Przychodzili często najbardziej poważni profesorowie i niejednokrotnie w skromnej sali przy placu Jabłonowskich 19 spotykali się rektorzy czy Uniwersytetu, czy też Akademij. Ówczesny arcybiskup krakowski, książę metropolita Sapieha również nie odmawiał studentom, gdy go prosili, by przyszedł na uroczyste zebranie w Kole Kresowym.

By utrwalić ślad działalności Koła i poinformować o niej inne środowiska akademickie, została wydana „Jednodniówka Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie". Umieszczono w niej artykuły przede wszystkim na tematy, związane z ideologią Koła. Okładkę do bardzo starannie wydanego zeszytu zaprojektował kolega Białorusin, członek Koła, student Akademii Sztuk Pięknych.

Kiedy młodzież ukraińska, studiująca w Krakowie, zawiązała swą organizację, zarząd Koła nawiązał kontakt z Ukraińcami. Przedstawiciele Koła bywali na zebraniach studentów Ukraińców, jak również ich delegaci przychodzili do Koła. Ta współpraca nie rozwinęła się szerzej, zaszły bowiem zmiany w zarządzie Koła.

Okres najbardziej pracowity w życiu ideowo-społecznym Koła Kresowego trwał zaledwie kilka lat. Studenci założyciele i najbardziej czynni ich następcy pokończyli studia, opuścili Kraków i wielu z nich zgodnie z ideowym założeniem Koła udało się na Kresy, by tam pracować.

Przyszła druga wojna światowa: wśród Polaków, rozproszonych jakże daleko od Kraju, znalazło się kilku dawnych członków Koła Kresowego. Ci, którzy pozostali w Polsce nie zapomnieli jednak chyba o okresie swych młodzieńczych zrywów w gronie, któremu się marzyła Polska jak za Jagiellonów.

W. Terajewicz

Barbados,
British West Indies.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Pomoc dla prześladowanych. W Londynie odbyło się uroczyste otwarcie, odbudowanego po zbombardowaniu w czasie wojny, francuskiego kościoła Matki Boskiej na Leicester Square. Na uroczystość przybył kardynał Feltin, arcybiskup Paryża, i odprawił pontyfikalną Mszę św., w obecności kardynała Griffina. Następnego dnia kard. Feltin wygłosił w Instytucie Francuskim na South Kensington odczyt n.t.: „Położenie Kościoła katolickiego we Francji". Z tej okazji warto przypomnieć, jak to katolicy angielscy i francuscy pomagali sobie wzajemnie w czasie prześladowań religijnych w ich krajach: w Anglii w wiekach XVI i XVII, we Francji w czasie rewolucji pod koniec wieku XVIII i w wieku XIX i XX.

We Francji (pojętej w dzisiejszych granicach) w Paryżu, Saint Omer i Douai powstały seminaria duchowne dla kształcenia duchowieństwa angielskiego, które po skończeniu tych seminariów lub innych (Valladolid, Sewilla, Madryt, Louvain, Lizbona) śpieszyło do swej ojczyzny i wśród niesłychanie trudnych warunków, pod groźą narażenia się na uwięzienie, a nawet na wyrok śmierci, pracowało nad utrzymaniem i szerzeniem wiary katolickiej. Gdy zaś nastały dla Kościoła katolickiego we Francji ciężkie czasy rewolucji francuskiej, duchowieństwo francuskie i wierni korzystali z gościnności w Anglii, gdzie już rozpoczął się powolny zwrot ku umożliwieniu katolikom wyznawania ich religii. W roku 1801 było w Anglii około 5.600 księży francuskich, w tym 30 biskupów. Zarówno rząd angielski jak i wierni pomagali im materialnie, a Oxford University Press wydrukowało dla nich po łacinie Biblię i Brewiarz. Gościnna Anglia przyjmowała też wyrzucane w wiekach XIX i XX duchowieństwo zakonne francuskie, tak np. powstał w Quarr na wyspie Wight klasztor benedyktynów wygnanych z Solesmes.

Ale i w poprzednich wiekach dziejów Kościoła katolickiego w Anglii przybywało do niej duchowieństwo z Francji. W roku 1066 Wilhelmowi Zdobywcy towarzyszyło wielu arcybiskupów, biskupów, opatów i księży. Wielu z najsławniejszych prałatów pochodziło z normandzkiego opactwa w Bec-Hellouin, a więc: prymas Lanfranco z Pavia, św. Anzelm d'Aosta, jego następca, Teobald, poprzednik św. Tomasza Becketa, Gilbert Crispin, który był opatem westminsterskiego opactwa w ciągu 32 lat.

WALNY ZJAZD ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŹNIE

NAGRODY LITERACKIE: Jan Bielatowicz, Marian Czuchnowski Kazimierz Sowiński

W sali sztandarowej Instytutu im. Gen. Sikorskiego odbył się w dniu 22 października br. walny zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Przewodniczącym Zjazdu obrano dra Zygmunta Nowakowskiego. Ustępujący prezes prof. S. Stroński złożył sprawozdanie z działalności Zarządu w roku ubiegłym, do dnia swej choroby, oraz ogłosił nazwiska tegorocznych laureatów nagród literackich. Złożył również podziękowanie dr. T. Terleckiemu za jego pracę włożoną w czasie choroby Profesora. Za czas od choroby prof. Strońskiego do końca kadencji Zarządu sprawozdanie złożył dr Terlecki.

Zarząd przygotował na Rok Mickiewiczowski 240-stronicową księgę p.t. „Mickiewicz żywy", złożoną z 30 prac członków Związku, a opracowaną przez Herminię Naglerową. Obok wydania zbiorowego dzieł Mickiewicza Ośrodka „Veritas", będzie to największe wydawnictwo na ten Rok.

„Mickiewicz żywy" drukowany jest przez Bolesława Świderskiego, część nakładu sprzedano już w subskrypcji, na rynku książka będzie w listopadzie. Na wniosek prof. Strońskiego podziękowano redaktorce dzieła H. Naglerowej żywymi oklaskami.

W roku ubiegłym urządzono następujące imprezy:

1. Wieczór laureatów nagród literackich.
2. „Towarzysz Październik" — sztuka K. Wierzyńskiego, czytana przez zespół „Pro Arte".
3. Jubileusz L. Staffa.
4. „Szklanka mleka" i „Pokój ludziom dobrej woli" — sztuki T. Lisiewiczówny, czytane przez artystów ZASP.
5. Wieczór zbiorowy p.t. „Codzienne życie emigranta."
6. Udział w jubileuszu Z. Nowakowskiego.
7. Udział w wieczorze J. Conrada (wraz z „Pro Arte").
8. „Czas pojednany" — sztuka B. Przyłuskiego, czytana przez artystów ZASP.
9. „Hemingway" — wieczór poświęcony twórczości laureata nagrody Nobla.
10. Pochwała „Pana Tadeusza" — wieczór zbiorowy.
11. „Język polski w twórczości Mickiewicza" — odczyt prof. J. Trypućki.
12. „Mickiewicz w oczach poetów" — (Przyłuski, Czuchnowski, Baliński).
13. 10-lecie literatury polskiej na emigracji.
14. Wieczór zbiorowy 11 autorów.

Ponadto Związek przyjmował w Domu Pisarzy poetkę francuską Rose Bailly i prof. Łukasiewicza.

Dnia 26 listopada, w dzień śmierci Adama Mickiewicza, odbędzie się Mickiewiczowski wieczór literacki w „Ognisku Polskim".

Omawiano też pracę Towarzystwa Przyjaciół Pisarza. Dr Terlecki podziękował Zarządowi Twa za harmonijną współpracę, gen. Kukielowi za użyczanie Związkowi lokalu Instytutu Sikorskiego oraz kierownikowi tegoż domu p. Zarembie.

J. Żywina przedstawił sprawozdanie skarbnika.

Walny Zjazd na wniosek komisji rewizyjnej udzielił ustępującemu zarządowi absolutorium.

NAGRODY LITERACKIE

Jury w składzie: Antoni Bogusławski, Józef Kisielewski, Herminia Naglerowa, Bronisław Przyłuski, Tymon Terlecki oraz Stanisław Stroński, pod przewodnictwem prof. Strońskiego, przyznało nagrodę w wysokości £ 40 za całokształt twórczości Marianowi Czuchnowskiemu. Nagrodę tę ufundował Obywatelski Komitet Pomocy Polakom w W. Brytanii.

Nagrodę dla krytyka, w kwocie £25, przyznano Janowi Bielatowiczowi, a nagrodę w wysokości 100 dolarów, ufundowaną przez Koło A.K. Detroit, przyznano Kazimierzowi Sowińskiemu za dramat „Dzień Dominika", wystawiony przez „Warsztat Teatralny". W składzie Jury dla nagrody A. K. uczestniczył dodatkowo p. Garliński, prezes Koła A.K. w Londynie.

NOWY ZARZĄD

Na stanowisko prezesa zaproponował dr Nowakowski profesora Strońskiego. W odpowiedzi na to, prof. Stroński zgłosił kandydaturę dr. Terleckiego, motywując swą odmowę stanem zdrowia. Dr. Tymona Terleckiego wybrano na prezesa jednogłośnie. Do nowego Zarządu weszli: Antoni Bogusławski, Zdzisław Broncel, Janusz Kowalewski, Stefan Legeżyński, Teodozja Lisiewicz, Juliusz Mieroszewski, Jan Ostrowski i Józef Żywina, do Sądu Koleżeńskiego: Stanisław Stroński, Aleksander Bregman, Zofia Kozaryncwa, Napoleon Sądek, do Komisji Rewizyjnej: Jan Bielatowicz, Maria Danilewiczowa i Ignacy Wieniewski.

POŻEGNANIE PROF. S. STROŃSKIEGO

Na obiedzie koleżeńskim wygłoszono szereg przemówień na cześć ustępującego prezesa prof. Strońskiego. Mówił więc dr Terlecki, A. Bogusławski, S. Baliński, J. Sakowski i J. Kowalewski podkreślając wielkie zasługi prof. Strońskiego dla Związku Pisarzy. Mowa Profesora należała do popisów krasomówczych i pełna była cytatów w wielu językach.

S. L.

*

Sprawozdanie powyższe powiadamia, m. in. iż tegoroczną nagrodę literacką w dziale krytyki, ufundowaną przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, otrzymał Jan Bielatowicz, współpracownik od wielu lat Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas".

Do wielu życzeń, jakie otrzymał autor „Passeggiaty", — Wydawnictwo ŻYCIA dołącza bardzo serdeczne życzenia swoje. Jan Bielatowicz jest z ŻYCIEM związany bardzo blisko. Niemal od samego początku pisma jest jego stałym współpracownikiem jako kierownik literacki pisma. Przez kilka zaś lat, zanim nie przeszedł na kierownictwo Działu wydawnictw książkowych, był redaktorem ŻYCIA. Źdźbło więc pięknego wyróżnienia, jakie stało się udziałem naszego Kolegi redakcyjnego, w drobnej części spada również i na pismo, na jego bowiem przeważnie łamach ukazywały się i ukazują krytyki literackie Bielatowicza.

Wydawnictwo i Redakcja ŻYCIA.

Zgon Prof. St. Strońskiego

W chwili oddawania do druku niniejszego numeru doszła nas wiadomość o zgonie profesora Stanisława Strońskiego, wielkiego Polaka, wybitnego uczonego w zakresie romanistyki i znanego polityka polskiego. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy artykuł poświęcony wspomnieniu o Zmarłym, który niejednokrotnie zamieszczał swe prace na łamach naszego pisma. Dziś przyłączamy się do żałoby rodziny Zmarłego i całego społeczeństwa polskiego.

REDAKCJA ŻYCIA

ŻYCIE LITERACKIE

WIECZÓR AUTORSKI

Wieczór autorski, jaki odbył się w Instytucie im. Gen. Sikorskiego dn. 21 b.m. staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, potrafił wzbudzić zainteresowanie wśród publiczności londyńskiej, która mimo niepogody szczelnie zapełniła salę. Zespół autorów reprezentował zarówno prozę jak i poezję. Zarówno stare, znane już w literaturze polskiej nazwiska, jak i nowy narybek literacki stawiający dopiero pierwsze na tym polu kroki.

Po zagajeniu przez dr. T. Terleckiego, pierwszy zabrał głos poeta(i drukarz jednocześnie, jeden z założycieli Oficyny Poetów i Malarzy) Czesław Bednarczyk, odczytując z tomiku „Obręcze" szereg wierszy. Co przede wszystkim uderza w poezji Bednarczyka, to szczerość i bezpośredniość w oddaniu przeżycia artystycznego. Jest w jego poezji jakaś żarliwa miłość słowa. Bednarczyk mówi słowem prostym, jasnym, codziennym dając mu oryginalnym zestawieniem, rymem i rytmem swego wiersza nową barwę i dźwięk.

Józef Mackiewicz, jak należało się spodziewać, dał jeszcze jeden pesymistyczny kwiatek ze swego ogródka. Jest jakaś dziwna samoudręka, nakazująca Mackiewiczowi wykazywać same niskie i słabe cechy ludzkiego charakteru. Jakaś dziwna gorycz do świata i do ludzi. Negacja i melancholia. Jakaś swoista filozofia, widząca jedynie wyrachowanie, podłość i zemstę przyczajone do skoku, aby powalić człowieka przy pierwszym fałszywym kroku. Nie umniejsza to bynajmniej wartości artystycznej książki, z której wyjątki odczytano. Postacie, skreślone z pasją w „Karierowiczu", żyją. Dialogi, oddające charakterystykę i morale bohaterów, pokazują prawdziwych ludzi.

W nieobecności J. Mackiewicza czytał art. dram. J. Bzowski, i tu zaczyna się, powiedzmy delikatnie, nieporozumienie, na którym ucierpiała publiczność. Kogo za to winić należy, czy organizatorów, czy p. Bzowskiego? Mam wrażenie, że chyba tego ostatniego. Bo gdy ktoś jest niedysponowany lub nie czuje się na siłach, nie powinien się zadania podejmować. Od aktora wymaga się dobrej dykcji i opanowania tekstu.

Marian Łysakowski odczytał kilka swoich wierszy, w tym jedno tłumaczenie z poezji ukraińskiej. Operując nie słowem, a obrazem, sięgając w metaforze do mitologii antycznej, Łysakowski nie nawiązuje łatwego, bezpośredniego kontaktu ze słuchaczem, wymagając od niego pewnego minimum wysiłku i napięcia uwagi.

Doskonały szkic literacki Ferdynanda Goetla „Zamach w Colombinie", będący na pół realistycznym, a na pół satyrycznym przedstawieniem Warszawy z czasów okupacji ostatniej wojny, odczytała p. Otwinowska.

Z wierszy Edwarda Chudzyńskiego z tomiku „ Derwisz pijany" na uwagę zasługują, niestety, tylko dwa: „Jan Sebastian" i „Szczęście", w których widać jakieś przeżycie. Reszta, to robótka literacka więcej lub mniej udana.

Powieść historyczną z czasów Księstwa Warszawskiego pt. „Rok urodzaju" zareprezentował T. Szudek. Czytał znowu p. Bzowski. „Zwischenruf'y" gen. M. Kukiela nakazują przypuszczać, że autor raczej naginał historię do swych wymogów powieściowych.

Pisząca „sobie i muzom" Teodozja Lisiewicz oczarowała zebranych subtelną, i finezyjną koronką kulturalnego dowcipu, dając wyjątki z niewydanej książki „Dom nad Sanem". Ostrze jej satyry nie godzi boleśnie. Jest to raczej pełen miłości uśmiech wyrozumienia i pobłażania dla ludzi i czasów, które przeminęły, ale które jak wszystko dobro, jakiego zaznaliśmy w młodości pozostaje jasnym promieniem w naszej pamięci. Wielka szkoda, że książka nie może znaleźć wydawcy.

Florian Śmieja jest przedstawicielem poezji, która nie sięga po metaforę, aby jaśniej wytłumaczyć, bardziej przybliżyć myśl czytelnikowi,ale wychodzącej z założenia, iż niezwykłość metafory jest głównym celem i zadaniem poezji.

Januszowi Kowalewskiemu pozostał jedynie niewyparzony ozór „żołnierza ciułacza". Wyjątki odczytane przez niego z ostatnio napisanej i drukowanej w odcinkach powieści „Wszystko nie tak" nie były najszczęśliwiej wybrane. Lekkości i dowcipu ani śladu, a charakterystyka typów pozostawia dużo do życzenia.

H. Żukrowska swój debiut powieściowy zapoczątkowała dwoma wyjątkami z „Nowego życia", sięgając po temat niedawnych lat, kiedy ludzie, rozrzuceni huraganem wojny po świecie, usiłują zapuszczać na nowo korzenie w ziemi.

Ogarniętemu tremą Tadeuszowi Zajączkowskiemu przyszła z pomocą T. Lisiewicz, odczytując za niego opowiadanie „Wańka". Zajączkowski w krótkim szkicu dał doskonały obraz bolszewika, który przeniesiony w wolny świat i wyzwolony spod nacisku sowieckiego zakłamania, przeniesiony w inną atmosferę psychiczną, odkrywa w sobie człowieka i upomina się o jego prawa.

K.S.

LISTY PARYSKIE

ECHA SPOZA MURÓW KLASZTORNYCH

W tych dniach dano w Comédie Française w Paryżu setne przedstawienie szeroko omawianej przez krytykę sztuki „Port Royal". Autor jej, H. de Montherlant, podał równocześnie wiadomość do prasy, iż otrzymał listy od osób duchownych, a między innymi list od kilku zakonnic, na temat tego dramatu. Omawiając tę korespondencję ogłosił nawet jeden z listów, w którym siostra Teresa X. (cóż za tęgie pióro!) wyraża zdumienie z powodu dziwnie sprzecznych objawów: oto kiedy zakony pustoszeją tak dalece, że niebawem zakonnic trzeba będzie szukać już tylko na deskach teatru, a powołania kapłańskie są coraz rzadsze, równocześnie publiczność objawia tak wielkie zainteresowanie problemami z dziedziny psychologii religijnej i życia monastycznego.

Przechodząc do samej sztuki de Montherlant'a siostra Teresa ostro i trafnie ją krytykuje i to właśnie z punktu widzenia psychologii wierzących; uważa ona, że fałszywa jest na tym tle postawa mniszek w sztuce przedstawionych, gdyż polegają one w swym oporze wobec władzy kościelnej na swej „cnocie", a nie na Chrystusie Panu. Stąd zrozumiały jest ich lęk, m.in. lęk siostry Angeliki przed nakazem opuszczenia murów klasztornych i przed rozproszeniem, na które mają być za opór skazane. Siostra Teresa pyta: Jeżeli Joanna d'Arc i inne męczennice, które mimo że w zwykłym życiu wiedziały co to jest lęk przed bólem — potrafiły przecież śmiało iść na stos i na męki, — to czy nie działo się tak z tej racji, że nie ufały one swej naturze i cnocie, ale sile wyższej płynącej ze zjednoczenia się z Chrystusem Panem?

Znał tę moc św. Franciszek Biedaczyna, który przez wyrzeczenie się siebie i świata, a zlanie swej istoty ze swym Mistrzem, przez potężne z nim współcierpienie otrzymał od Niego stygmaty Jego własnej męki na Krzyżu.

Żywot św. Franciszka z Asyżu, któremu Daniel Rops w dzień jego święta poświęcił piękną medytację raczej niż artykuł w „Carrefour", nasuwa jeszcze jedną refleksję, równoległą do tej która jest tematem listu siostry Teresy. Kiedy dziś ludzie z taką pasją wspinają się na najwyższe i najtrudniejsze szczyty górskie, a relacje z ich wypraw czytane są z zapartym oddechem przez miliony sportowców, mało komu chyba przypomina się zgoła inna rola szczytów, a mianowicie rola w życiu religijnym ludzkości szczytów takich, jak Synaj, Tabor, Kalwaria i Alverno (na której św. Franciszek otrzymał stygmaty). Jeżeli św. Biedaczyna tam się schronił, uczynił to aby stąd spojrzeć w twarz zbliżającej się śmierci i być w tej chwili bliżej Tego, którego męki tak gwałtownie w swym wycieńczonym ciele odczuł. Jakżeż to dalekie od pobudek, które dzisiaj kierują alpinistów na szczyty Himalajów!

Za oznakę modernizacji życia religijnego trzeba uważać fakt, że zamknięci po klasztorach mnisi wychylają się swymi myślami i działalnością na świat, jak tego przykład dała wspomniana siostra Teresa; nie mniej typowy przykład mamy w serii wydawnictw benedyktynów z klasztoru w departamencie Yonne (stolica Auxerre) z miejscowości o poetycznej nazwie La Pierre-qui-Vire pod miasteczkiem St. Léger. Benedyktyni owi wydawali kwartalnik „Témoignages" który przekształcili w ubiegłym roku na dwumiesięcznik. Owe „Cahiers de la Pierre-qui-Vire" poświęcone są nie jak w zwykłych czasopismach różnym, czasem rozproszonym sprawom, ale każdy zeszyt dotyczy jednej tylko kwestii. I tak gdy jedne zeszyty omawiają sprawy liturgii, to inne tradycji, inne życia duchowego, inne wreszcie podają „dokumenty, które katolik znać powinien". Zwłaszcza godne uwagi są zeszyty: **Moines; St. Bernard Homme d'Eglise; Marie Salut du Monde; La Guerre et les Chrétiens; La Mort et l'Au-delà; La Prière.** Gdy się przebiega załączoną do tekstu bibliografię, widać że to robota prawdziwie — benedyktyńska. Rozchodzą się wydawnictwa tego zakątka po całej Francji poprzez paryską firmę **Declée de Brouwer.**

Refleksje o monastycznym życiu we Francji i właśnie w związku z działalnością benedyktynów, przypominają ciekawą postać wskrzesiciela tego zakonu we Francji, którego 150-lecie urodzin, a zarazem 80-lecie śmierci obchodzili w tym roku katolicy francuscy. Wskrzesicielem tym był Dom Prosper (Louis-Pascal) Guéranger (1805-1875). Jako młody ksiądz powziął on plan odbudowy zakonu benedyktynów i w tym celu wykupił ruiny klasztoru w Solesmes, skasowanego przez Rewolucję Francuską i uzyskał od Grzegorza XVI zatwierdzenie wznowionej reguły benedyktynów francuskich, jako spadkobierców klasztorów w Cluny, w St. Vannes i w St. Maur.

Dom Guéranger przyczynił się do dwu dzieł ogólnej doniosłości w życiu religijnym Francji: do ujednostajnienia dość zróżniczkowanej liturgii kościoła gallikańskiego i do zaprowadzenia w kulcie śpiewu gregoriańskiego. Przez swe dzieła o liturgii rzymskiej (Les Institutions liturgiques, 1840-42; i L'Année liturgique, 1842-59) zreferował za aprobatą papieża liturgię francuską wedle wzorów rzymskich. Był on też autorytetem w sprawach doktryn teologicznych, a nie tylko kultu; ze zdaniem jego liczyli się papieże; on to był promotorem dogmatów o Niepokalanym Poczęciu N. P. Maryi oraz o nieomylności papieża, której bronił w swej „Monarchie pontificale" (1870).

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie odniosłem usłyszawszy po raz pierwszy śpiewany unisono, pozbawiony ziemskich naleciałości chóralnych, gregoriański śpiew zakonników w Solesmes. Był w tym równym, surowym uniesieniu wigor i czystość modlitwy, która wstępowała po meandrach głosów, niejako spiralnie wspinających się ku niebu. Myślę, że nie podobna śpiewać psalmów właściwiej i lepiej. To też tym wdzięczniej piszę tych parę słów poświęconych Dom Guéranger i Solesmes.

Samo miasteczko (departament Sarthe) nie ma nawet tysiąca mieszkańców. Góruje nad nim potężna masa klasztoru o masywnych trzech wieżach. Założony w XI w., kilkakrotnie przebudowywany w XIII, XVI i XVII w. posiada on przepiękne rzeźby renesansowe (t.zw. „Świętych z Solesmes"). Są to najpiękniejsze okazy rzeźby religijnej francuskiego renesansu. Na początku XV w. ograbili i zniszczyli klasztor Anglicy. Za Rewolucji Francuskiej opustoszały klasztor został sprzedany, a wykupiony, jak wspomniałem, przez Dom Guéranger'a w 1835 r. stał się szkołą odnowionego śpiewu gregoriańskiego. (Głównie na podstawie prac Dom. J. Pothier Liber Gradualis i słynnych Mélodies grégoriennes, 1883). Dekrety antykościelne rządu francuskiego z 1860 r. wypędziły ponownie benedyktynów z klasztoru, którzy się schronili na wyspie Wight i dopiero zniesienie tych dekretów w 1922 r. umożliwiło powrót benedyktynów do Solesmes.

Jak wiadomo, śpiew gregoriański jest oficjalną formą muzyczną liturgii katolickiej. Ten „planus cantus" jest nierozerwalnie związany z modlitwami Kościoła, a pochodzi jeszcze z katakumb. Odnowiony przez św. Grzegorza Wielkiego (na przełomie VI i VII w.) rozwijał się aż do XI w. po czym nastąpiło przez wieki zniekształcające go zwyrodnienie. Dopiero wspomniany Dom Pothier stał się wskrzesicielem jego surowego piękna pierwotnego. (Dom Pothier wezwany przez św. Piusa X do Rzymu, został przewodniczącym papieskiej komisji śpiewu gregoriańskiego).

Zwyczaje i obrzędy religijne francuskie odznaczają się typową dla tego kraju teatralnością. (Znana jest ona w jeszcze wyższym stopniu we Włoszech, ale — nie chcę tu wchodzić na ów obcy dla mnie w tej chwili teren.) Właśnie ostatniej niedzieli kardynał Feltin przybył na uroczystą Mszę św., którą celebrowano na wodach Sekwany, na galarze w obecności także i pani prezydentowej René Cotty, jako matki chrzestnej francuskiej marynarki handlowej. Jak wiadomo, Paryż dzięki Sekwanie jest jednym z największych portów handlowych Francji. Nabożeństwo to odprawiane jest co rok na intencję zaginionych statków i marynarzy marynarki handlowej. Ten zwyczaj modłów za marynarzy, którzy potonęli w morzach, ma także swój odpowiednik w wielu portach francuskich. Bawiąc tego lata nad Atlantykiem na południe od Bordeaux, usłyszałem dzwony kościelne przed północą. Na moje pytanie, co też może oznaczać to dzwonienie o tak niezwykłej porze, ludność miejscowa objaśniła mnie, że nie jest to bynajmniej spóźniony „Anioł Pański", ale nawoływanie wiernych do modlitwy za potopionych ludzi morza. To podzwonne da się słyszeć zwłaszcza w okresie wielkich przypływów, w okresie porównania dnia z nocą.

Tu, jako curiosum literackie, winienem wspomnieć ukazanie się powieści biograficznej poświęconej Krzysztofowi Kolumbowi, napisanej przez Jean Mercier (wyd. Denoël, Paris). Opierając się na dokumentach z epoki, żąda on ni mniej ni więcej jak tylko — kanonizacji tego „nadzwyczajnego marynarza", który przecież za życia miał raczej opinię rozbójnika morskiego, złodzieja, a nawet mordercy. Oczywiście autor tej nowej biografii, sam marynarz, po bohatersku walczy w swej książce przeciwko tym plamom na pamięci — Krzysztofa Kolumba!

Józef Andrzej Teslar

MUZYKA

RECITAL MAYI BLACK

Przymiotnik „polski" przy nazwisku pianisty ma w Londynie, obecnie muzycznej stolicy świata, duże znaczenie i usposabia przychylnie publiczność i krytyków. Natomiast przymiotnik „francuski" przy nowych nazwiskach nie otwiera u publiczności londyńskiej kredytu zaufania. Anglicy uwielbiają muzykę spokojną, opanowaną, chłodną, Francuzi wkładają w nią gorące serce i niespokojną dynamikę. Styl pianistów francuskich nie odpowiada temperamentowi i wymogom estetycznym Anglików.

Maya Black, córka słynnego rzeźbiarza polskiego, z matki Francuzki, wystąpiła z pierwszym publicznym koncertem w Londynie jako Francuzka. Mimo to sala Wigmore Hall była prawie wypełniona publicznością. Zważywszy, że recital odbywał się w niekorzystnej porze tygodnia i dnia (w sobotę o godzinie 3 po południu), dużą frekwencję należy uznać za spory sukces nazwiska, które dla Anglików brzmi po angielsku (Blackowie istotnie pochodzą ze Szkotów, którzy emigrowali do Polski), dla Francuzów jest znajome z koncertów we Francji, a dla Polaków jest również rodzime. Około jedną trzecią publiczności stanowili Polacy.

Sala Wigmore Hall to dla każdego wirtuoza krzyżowa próba przyszłej sławy. Od przyjęcia publiczności i od głosów krytyki po pierwszym czy drugim koncercie w Wigmore Hall zależy zwykle dalsza kariera muzyczna, przynajmniej w Anglii. Otóż przyjęcie Mayi Black było bardzo żywe i gorące. Przypuszczalnie drugi jej koncert w Wigmore przyniósłby jeszcze większy sukces, gdyż debiut zwyczajnie nie pozwoli wykazać pełni talentu artyście, trzymającemu się sztywno określonych wymagań, nadmiernie przejętemu i zbyt hojnemu w wykonywaniu programu. Program Mayi Black był na debiut za bogaty, a artystce udzielał się lekki niepokój w miarę trwania koncertu.

W sumie jednakże Maya Black wyszła z ciężkiej próby zwycięsko i nie ulega wątpliwości, że przy wysiłku i wytrwałości może ona sięgnąć bardzo wysoko.

W jej grze znać wpływ nauczycieli: przede wszystkim J. I. Paderewskiego oraz Cortota. Od obu wzięła styl gry, żeby tak powiedzieć, śpiewnej i uczuciową interpretację. O szerokiej skali możliwości Mayi Black świadczy opanowane wykonanie Bacha, zwłaszcza suity francuskiej. Natomiast w Chopinie mogła Blackówna dać swobodny pokaz romantycznego uczucia interpretacji. Na recital złożyły się ponadto: „Koncert włoski" Bacha, wariacje w C-moll Beethovena, „Studia symfoniczne" op. 13 Schumanna. Z utworów Chopina wykonała artystka sześć etiud, dwa mazurki (nie licząc bisów), nokturn i balladę As-dur.

Wysoka biegłość techniczna Mayi Black i wrodzony romantyzm są fundamentami talentu polskiej artystki. Teraz kolej na spokojne poszukiwanie własnego wyrazu. Wydaje się, że możliwości panny Blackówny są ogromne.

J.B.

DYSKUSJA

NAD SZTUKĄ BRANDSTAETTERA

— „Najlepszym dowodem słuszności wystawienia „Nocy narodowych" jest tocząca się od dwóch godzin dyskusja, jakiej nie potrafiła wywołać żadna z dotychczas wystawionych przez teatr emigracyjny sztuk" — powiedział L. Kielanowski na „Wieczorze dyskusyjnym", jaki odbył się 20 bm. w lokalu Zjednoczenia Polek.

Zasadniczy temat tego interesującego wieczoru, na którym błyszcząca inteligencja i dowcip mówców szły w parze ze znajomością poruszanego zagadnienia, był: „Celina i Ksawera w życiu Mickiewicza; na marginesie wystawionej przez teatr emigracyjny sztuki Romana Brandstaettera.".

Zagajając wieczór przewodnicząca dr L. Ciołkoszowa stwierdziła, iż „...należytym uczczeniem Mickiewicza jest mówienie o nim prawdy, a życie prywatne jest cząstką tej prawdy."

M. Danilewiczowa w swoim źródłowo-historycznym referacie omówiła niewieście ideały Mickiewicza oraz wpływ kobiet na jego twórczość, zanik twórczości przypisując chorobie Celiny. Przechodząc do omówienia „Nocy narodowych", prelegentka poddała sztukę krytyce co do ścisłości historycznej, twierdząc jednak, iż autor oddał wiernie nastrój domu z dwiema histeryczkami i gromadą dzieci — cały ten najtrudniejszy okres w życiu Mickiewicza. Omawiając dorobek literacki Brandstaettera wysunęła Danilewiczowa sugestie koniukturalności autora, co zresztą sparował Marian Czuchnowski, który kreśląc sylwetkę Brandstaettera zakończył: „Brandstaetter to minerał, który potrzebuje tysięcy lat, aby ulec zmianie."

W dyskusji, jaka wywiązała się po referacie, będącej zarazem przedłużeniem kontrowersyjnych opinii i wypowiedzi na łamach prasy, starano się o jak najbardziej wszechstronne ujęcie i naświetlenie tematu. Głównie jednak dyskusja potoczyła się dwoma torami. Jednym było omówienie samej sztuki, drugim poruszenie przyczyny zamilknięcia Mickiewicza.

W pierwszym wypadku, po omówieniu sceniczności utworu, różnic reakcji widza w Kraju i na tutejszym gruncie, po rozpatrzeniu konieczności skrótów teatralnych, wyłoniły się w dyskusji dwa zasadnicze poglądy. Pierwszy stojący na gruncie monumentalności Mickiewicza, wysuwający zarzut nieudolności przedstawienia sylwetki poety przez autora, drugi, wychodzący z założenia pokazania prawdziwego życia człowieka, który jest geniuszem. „Człowieka, który chodzi po pokoju, pali fajkę i pije herbatę", jak wyraziła się Teodozja Lisiewicz; nie bójmy się spojrzeć na wielkość od tej ludzkiej strony trosk codziennych, kłopotów, zmartwień a nawet i upadków, gdyż, jak zakończyła M. Danilewiczowa, „życia od twórczości oddzielić nie podobna".

W drugim, równoległym do pierwszego, torze dyskusji również należy uczynić podział na dwie opinie. Pierwsza z nich widziała w chorobie Celiny źródło zaniku twórczości Wieszcza, gdyż codzienna histeria żony była tragiczną w skutkach dla Mickiewicza, druga — wyrażała pogląd wypalenia się twórczości u Mickiewicza. Oryginalne podejście dał M. Hemar, który na zakończenie dyskusji powiedział: „Mickiewicz nie byłby tak wielki, gdyby nie zamilkł. Słowo, choć najpiękniejsze, zawodzi przy ogromie krzywdy. Zawiedzione nadzieje rewolucji francuskiej, wojen napoleońskich i upadek powstania były tą tragedią, która zamknęła Mickiewiczowi usta. Tragedią niewystarczalności słowa."

K. S.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 6 listopada 1955.

NASZE SPRAWY

PRZYKŁAD
MATKI-KATOLICZKI

Wpadła mi w ręce niewielka, świeżo wydana książeczka w języku angielskim: A Mill Hill Father „Remembered in Blessing". (London, Sands & Co, 1955, cena 4/6). Książeczka ta jest biografią niezwykłej matki, Elizy Vaughan.

Eliza Vaughan zmarła z górą sto lat temu, w roku 1853, rodząc swe trzynaste z rzędu dziecko. Była ona angielską katoliczką-konwertytką. Wychowana w wierze protestanckiej, zdradzała od dziecka głęboką religijność duszy „naturaliter catholica". Przeszła na katolicyzm tuż przed poślubieniem późniejszego pułkownika John Francis Vaughan, członka jednej ze starych rodzin katolickich angielskich, które wytrwały w wierności wierze przez cały, kilkuwiekowy okres prześladowań. Pułkownik Vaughan nie tylko pochodził z rodziny katolickiej, ale był sam gorącym, uświadomionym, odważnym katolikiem.

Wszystko to nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Ale jest w życiu Elizy Vaughan coś niezwykłego.

Eliza Vaughan modliła się przez całe życie o to, by wszyscy jej synowie zostali księżmi, a wszystkie córki zakonnicami. Co dzień w ciągu dwudziestu lat spędzała godzinę na modlitwie przed Przenajświętszym Sakramentem i przed śmiercią ujawniła, że przedmiotem jej codziennej modlitwy było to właśnie. Modlitwa jej została w sposób cudowny prawie w całości spełniona.

Spośród jej ośmiu synów sześciu zostało księżmi. Spośród jej pięciu córek cztery zostały zakonnicami; piąta też chciała zostać zakonnicą i nawet rozpoczęła nowicjat, ale jej nie przyjęto z powodu kalectwa.

I były to wszystko księża zupełnie niezwykłej miary, i niezwykłej miary zakonnice. Można powiedzieć, że Eliza Vaughan dała odradzającemu się Kościołowi w Anglii zastęp sług Bożych, którzy weszli w skład jego czołowej kadry.

Jeden z jej synów, Herbert został kardynałem i arcybiskupem Westminsteru, oraz budowniczym westminsterskiej katedry, a przedtem, jeszcze jako ksiądz, był założycielem i pozostał aż do śmierci Superiorem Generalnym Zgromadzenia Św. Józefa, znanego potocznie pod nazwą Ojców Millhilskich (Mill Hill Fathers), trudniącego się pracą misyjną w Afryce i gdzie indziej i będącego dziś jednym z najbardziej kwitnących zgromadzeń misyjnych na świecie.

Inny syn Elizy Vaughan, ojciec benedyktyn i pisarz katolicki, Roger, został arcybiskupem Sydneyu i metropolitą Australii, jednym z najznakomitszych organizatorów Kościoła australijskiego.

Najmłodszy jej syn, jej trzynaste dziecko, przy którego urodzeniu umarła, John, był biskupem-sufraganem w Salfordzie i rektorem St. Bede College w Manchesterze.

Z trzech pozostałych jej synów-księży, jeden, Joseph — albo Dom Jerome — był ojcem benedyktynem, założycielem i pierwszym przeorem opactwa benedyktynów w Fort Augustus w Szkocji; drugi, Bernard, był jezuitą, wybitnym kaznodzieją w Londynie (na Farm Street i na East Endzie) i uczestnikiem kongresów w Rzymie, cenionym przez papieża Leona XIII; trzeci, Kenelm, był świeckim księdzem o niezwykłej żarliwości i sile oddziaływania.

Z córek, Gladys była wizytką, Clare klaryską, Teresa Siostrą Miłosierdzia, a Maria — w zakonie Matka Klara Magdalena — przeoryszą w klasztorze kanoniczek Św. Augustyna w Newton Abbot.

Ale na tym się sprawa nie kończy. Dwaj spośród synów Elizy Vaughan ożenili się — i wśród potomstwa ich obu, wynoszącego 8 wnuków i 7 wnuczek Elizy był jeszcze jeden biskup: Francis Vaughan, ordynariusz diecezji Menevia, był też jeden ksiądz świecki, Herbert Vaughan, była jedna zakonnica benedyktynka i jedna klaryska.

Oto, co znaczy potęga żarliwej modlitwy! Oczywiście, modlitwy osoby, która była zapewne bliską świętości.

Takim matkom, takim rodzicom zawdzięcza społeczność katolicka w Anglii swoje przetrwanie, swoje odrodzenie, swój ponowny rozkwit.

Naród polski przeżywa dziś okres prześladowań Kościoła i wiary. Potrzeba jest w narodzie naszym takiej samej żarliwości — i takiej samej troski o przetrwanie wiary i jej rozkwit — jaka była w Anglii w okresie prześladowań Kościoła. Potrzeba jej nie tylko w kraju — lecz także i na emigracji.

Czy dużo mamy na emigracji matek, które byłyby gotowe mieć — trzynaścioro dzieci i które gotowe byłyby stale się o to modlić, aby duża część tych dzieci została księżmi i zakonnicami?

Jeśli ich mamy mało — to znaczy, że nasza katolickość jest raczej płytka i wygodna; zbyt wygodna jak na spoczywające na naszej generacji i naszym narodzie obowiązki.

POLONUS

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

„STOPNIOWANE ODSTRASZANIE"

Słownictwo międzynarodowe stworzone przez polityków i dziennikarzy anglosaskich dla określania różnych form stosunku Zachodu wobec Rosji uległo dalszemu „wzbogaceniu". Mieliśmy już „appeasement" (to słowo wymyślono już dla Hitlera), potem przyszło „containment", „co-existence", — ostatnio zaś dowiadujemy się z „Observera" (z dnia 16 października), że ukuta została nowa koncepcja i nowy termin: „graduated deterrence".

„Observer" stwierdza, że społeczeństwa Zachodu pławią się dzisiaj w klimacie odprężenia politycznego w stosunkach z Sowietami (sławetny „duch Genewy"!), ale ludzie odpowiedzialni za sprawy obrony wykazują coraz większą troskę. W ciągu jednego tylko tygodnia generał Gruenther oświadczył, że NATO zbyt drastycznie ogałacane jest z wojsk, generał Twining wyraził pogląd, że siły powietrzne Sowietów prześcigają już lotnictwo amerykańskie, a marszałek Montgomery ostrzegł, że większość planów obronnych Zachodu jest zdecydowanie przestarzała. Przyczyny tego stanu rzeczy są różne; dużą rolę odgrywają tu z jednej strony kłopoty północno afrykańskie Francji, z drugiej zaś rosnący nacisk społeczeństw Zachodu w kierunku ograniczenia zbrojeń, wypływający z przekonania, że niebezpieczeństwo wojny już całkiem minęło. Ale jest jeszcze inna przyczyna natury militarno-politycznej, modne dziś przekonanie, że przeciwnika odstraszyć można od wojny przez samą groźbę „masowego odwetu" („massive retaliation").

Zdaniem „Observera" istotnie do niedawna posiadanie przez Zachód bomby wodorowej i środków użycia jej w sposób jak najbardziej niszczący, było ostateczną gwarancją przeciw jakiemukolwiek atakowi rosyjskiemu na główne obszary strategiczne Zachodu — obszary, dla obrony których gotów byłby on zaryzykować wojnę „totalną". Wiele osób wątpiło jednak, czy byłaby to właściwa odpowiedź na każdą lokalną groźbę, godzącą w peryferie systemu obronnego Zachodu. Obecnie położenie uległo zmianie, gdyż wiadomo jest, że Rosja posiada takie same bronie termo-jądrowe; zdolna jest ona użyć ich w stosunku do Londynu lub Paryża, a za lat kilka rzucać będzie mogła te bomby na Nowy Jork czy Chicago. Niektórzy z ekspertów amerykańskich wyrażają przekonanie, że postępy, jakie Rosja czyni w zakresie międzykontynentalnych pocisków kierowanych, są równie szybkie, co w Stanach Zjednoczonych.

Czyż którykolwiek brytyjski lub amerykański mąż stanu może zarządzić rzucenie bomb wodorowych na Moskwę lub Pekin z powodu, dajmy na to, napaści sowieckiej na Persję lub Birmę, — wiedząc, że krok taki pociągnie za sobą zniszczenie Londynu lub Waszyngtonu?

Dlatego — wywodzi pismo — konieczne jest popieranie budowy odpowiednich systemów obronnych w wolnej części Europy, na Bliskim Wschodzie, na podkontynencie indyjskim, w Azji południowo-wschodniej i w krajach Oceanu Spokojnego, by Rosja i Chiny nie zostały zachęcone przez kombinację „impasu atomowego" i lokalnego „vacuum" w zakresie siły do wznowienia swego nacisku na słabszych sąsiadów. „Ale — ciągnie „Observer" — należyta obrona tych wielkich obszarów może osiągnięta być tylko, jeśli będziemy gotowi przyjąć szerszy zakres używania broni atomowej w roli taktycznej, defensywnej". Z tych przyczyn, a także w wyniku rozważań natury moralnej po obu stronach Atlantyku popularna stała się koncepcja tzw. „odstraszania stopniowego". Są różne jej odmiany, ale wspólnym zasadniczym czynnikiem jest, że należy ustalić ostre rozróżnienie między użyciem taktycznym i strategicznym broni atomowych, to jest między użyciem ich do zabijania atakujących żołnierzy a użyciem ich do mordowania osób cywilnych. W danej sytuacji Zachód winien móc ogłosić, że będzie używał broni atomowych przeciw nieprzyjacielskim siłom zbrojnym i ich liniom zaopatrzenia w strefie bitwy, oraz że użyje ich dla tego celu bezwzględnie i natychmiast, ale za to nie zrobi z nich pierwszy użytku w stosunku do miast i obiektów niewojskowych.

W chwili obecnej niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z różnicy między siłą taktycznej bomby atomowej, która ugodzić może ściśle określony cel, a pięć tysięcy razy większą siłą bomby wodorowej, której wybuch ogarnia 200 mil kwadratowych. Okropność takiej perspektywy odstrasza rządy od „autoryzacji" owej małej bomby atomowej, istnieje bowiem rozpowszechniona obawa, że pierwsza bomba atomowa, rzucona powiedzmy na most strategiczny, pociągnie za sobą następstwa, które spowodują koniec cywilizacji. Ścisłe odgraniczenie warunków użycia tych dwóch typów broni, ogłoszone publicznie, wzmocniłoby bardzo elastyczność planowania obronnego Zachodu.

Pozostaje jednak rozstrzygająca kwestia, jak należy przeprowadzić linię demarkacyjną. Najbardziej konsekwentni zwolennicy „odstraszania stopniowanego" pragną zrezygnowania z inicjatywy użycia bomb termo-jądrowych w ogóle i wydania uroczystej deklaracji, że Zachód w żadnym wypadku nie będzie rzucał bomb wodorowych na miasta, o ile nieprzyjaciel pierwszy tego nie zrobi. Choć pogląd ten jest bardzo pociągający z punktu widzenia moralnego, wysuwa się przeciw niemu zarzut, że użycie silnego środka odstraszającego może okazać się niezbędne dla uniknięcia niespodziewanej okupacji naprawdę żywotnych strategicznie obszarów, jak np. Zagłębia Ruhry. Wedle tego poglądu należy przeprowadzić rozgraniczenie między wojną lokalną, która prowadzona być może przy użyciu „taktycznych" środków odstraszających, a wojną „na całego" o panowanie nad światem, która natychmiast domagać się będzie ostatecznych środków.

Dyskusja na ten temat — konkluduje „Observer" — musi być prowadzona nadal, gdyż obronę Zachodu dostosować trzeba do rzeczywistości nadchodzącego wieku „impasu atomowego".

PROHIBICJA DLA 350 MILIONÓW LUDZI

Zanosi się na wprowadzenie całkowitej prohibicji na terenie Indii, a więc na obszarze, zamieszkałym przez 350 milionów ludzi, co będzie stanowiło eksperyment jedyny w swoim rodzaju jak dotąd. Już obecnie zupełna prohibicja obowiązuje w czterech (na ogólną liczbę 29) stanach Indii, a mianowicie w Andhra, Bombaju, Madrasie i Saurashtra, a 9 dalszych stanów ma „suche" terytoria lub „suche" dni. Ogółem 36 procent całej ludności Indii dotkniętych jest już prohibicją — i wedle wiarogodnych wiadomości system ten funkcjonuje dobrze.

Niedawno rząd indyjski w Delhi ogłosił projekt wprowadzenia zupełnej prohibicji stopniowo w całym kraju, w ciągu dwóch i pół lat. Sprawozdanie komisji, która ten projekt opracowała, oskarża Brytyjczyków o rozpowszechnienie zwyczaju picia.

„Byłoby rzeczą nieścisłą — mówi sprawozdanie — twierdzić, że napoje alkoholowe zostały wprowadzone do Indii przez Brytyjczyków, nie można jednak zaprzeczyć, że ich własna konsumpcja rozszerzona została wśród ludzi przez nałóg każdego przeciętnego Anglika... Antyspołeczny charakter popytu na napoje wyskokowe uchodził uwagi ówczesnych rządów brytyjskich. Picie uzyskało sankcję społeczną i stworzone zostały lepsze sposobności picia niż kiedykolwiek przedtem."

Jako pierwszy krok komisja proponuje, by skasowane zostało natychmiast wszelkie „widzialne picie" przez zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w hotelach, barach, jadłodajniach, klubach i na zebraniach towarzyskich. Turyści i obcy obywatele będą mogli otrzymywać alkohol w osobnych lokalach w hotelach. Od 1 kwietnia 1956 zakazane mają być wszelkie ogłoszenia, dotyczące sprzedaży alkoholu. Liczba wyszynków ma być stopniowo zmniejszana i mają być one zamykane na coraz większą ilość dni w tygodniu, zawartość procentowa alkoholu ma być zmniejszona, a wyszynki przeniesione do bocznych ulic. Urzędników publicznych obowiązywać będzie od razu abstynencja. Najpóźniej do kwietnia 1958 r. prohibicja ma mieć charakter całkowity w całym kraju.

Rząd nie zdecydował jeszcze, czy plan ten przyjąć. Jest oczywiście i silna przeciw prohibicji opozycja.

LISTY DO REDAKCJI

WYJAŚNIENIE

Wielce Szanowni Panowie,

Ponieważ w ostatnich dniach zarzuceni zostaliśmy dużą ilością listów zarówno z USA, W. Brytanii jak i z Polski, w których klienci nasi proszą o natychmiastową wysyłkę lub o szczegółowe informacje na temat nowego leku, stosowanego przy leczeniu gruźlicy — uprzejmie prosimy o podanie do publicznej wiadomości w poczytnym piśmie WPanów następującej informacji, będącej streszczeniem notatki ostatnio ogłoszonej na ten temat w British Medical Journal No. 4922 z dnia 7. 5. 1955:

W miesiącu lutym br. ukazała się w codziennej prasie amerykańskiej i kontynentalnej wiadomość o nowym środku leczniczym, mającym jakoby posiadać jakieś nadzwyczajne właściwości przy leczeniu gruźlicy. Podstawą do ogłoszenia takiej wiadomości były referaty:

pp. I. G. Epsteina, K. G. Naira, L. J. Boyd'a (USA),
pp. H. Welch'a, L. E. Putman'a, W. A. Randall'a (USA),

w których to referatach podano bardzo szczupłe informacje o nowym leku, który według autorów ma jakoby posiadać niemal cudotwórcze właściwości lecznicze przy zwalczaniu gruźlicy.

Obecnie świat lekarski, zarówno amerykański jak i brytyjski, wyraził zdziwienie z powodu ukazania się powyższego oświadczenia w prasie, zanim zostały przeprowadzone szczegółowe badania i doświadczenia kliniczne oraz zanim podano wyniki tych badań do ogólnej wiadomości.

Chociaż sporo czasu upłynęło już od chwili podania pierwszej wiadomości o istnieniu nowego środka — w dalszym ciągu brak wiadomości o badaniach klinicznych i ich wynikach, a to co podano do wiadomości publicznej jest niewystarczające i nie upoważnia do wyciągania daleko idących wniosków o wartości leczniczej tego środka.

W końcu notatka stwierdza, że na podstawie dotychczasowych danych, które są dość fragmentaryczne nie można spekulować co do wartości leczniczych środka mającego jakoby leczyć gruźlicę — jednakże dalsze wyniki badań i doświadczeń powinny być pilnie śledzone. W związku z powyższym pragniemy podkreślić, że CYCLOSERINE względnie SEROMYCINE do tej pory nie została wprowadzona do lecznictwa i nie znajduje się w sprzedaży zarówno w USA jak i w W. Brytanii. Jeżeli moment ten nastąpi — co pilnie z naszej strony śledzimy — nie omieszkamy tego faktu podać do wiadomości WPanów i naszych klientów.

Po wszelkie bliższe informacje prosimy zwracać się wprost do nas.

Łączymy wyrazy poważania

GRABOWSKI
EXPORT IMPORT LIMITED,
175 Draycott Avenue,
London, S. W. 3.

PO ŁEPKACH

KRYTYK, REDAKTOR I WYDAWCA

Świetny publicysta „Kultury" Juliusz Mieroszewski uprawia metodę wyprowadzania z zupełnie fałszywych przesłanek — wniosków zbliżonych do prawdy (albo na odwrót). Wzór mniej więcej jest taki: „Spotkałem wczoraj w „Ognisku" znajomego, który mi przy obiedzie oświadczył, że nie wyobraża sobie życia bez sosu miętowego. Tak, tak, nie ma się co łudzić! Polacy na emigracji wolą sos miętowy od chrzanowego. Przyczyną tego zjawiska jest realne ustosunkowanie do rzeczywistości: skoro w tym kraju chrzan jest luksusem, trzeba przejść na miętę." Itd.

Bywa, niestety, i tak, że zarówno wnioski jak przesłanki Mieroszewskiego są absurdalne. W październikowej „Kulturze" rozważa on przyczyny ograniczonego powodzenia książki emigracyjnej, zło upatrując w braku recenzji. Jako środek na zmianę tego stanu rzeczy zaleca Mieroszewski opłacanie recenzentów przez poszczególnych wydawców.

Taka praktyka oznaczałaby przekreślenie roli krytyki i spotęgowanie nieufności w wartość książek. Zamiast jednego zła mielibyśmy zło podwójne. Któż by chciał wierzyć płatnym agentom wydawnictw, reklamującym powieści i poezje jak Bovril albo czekoladki Black Magic? I jakież to byłyby recenzje, pisane za skrzynkę whisky? Jaką wreszcie naukę czy choćby wskazówkę mógłby z takiej krytyki czerpać autor? Juliusz Mieroszewski uważa książkę za taki sam towar jak każdy inny. Celem literatury jest zatem handel książką. A pisarz to zapewne taki człowiek, któremu nie powiodło się inaczej, więc musiał obrać najsłabiej popłatne zajęcie.

Opłacane recenzje to śmierć krytyki. Artykuł Mieroszewskiego p.t. „Panowie recenzenci i wydawcy" napisany został — zapewne nieświadomie — w interesie li-tylko wydawców, a przeciw interesom pisarzy i krytyków. Ściślej mówiąc w interesie wydawców nie rozumiejących roli pisarzy i krytyków. Uczciwy pisarz — bo chyba i on ma głos w tej sprawie — woli maleńką recenzję napisaną z dobrawoli niż cały tom zafundowanych pochwał. Każda zaś zorganizowana, z góry umówiona i po przyjacielsku wyproszona recenzja zawiera w sobie element sprzedajności czy wymiany usług. Bardzo to podejrzany pisarz, który się skarżył Mieroszewskiemu: „Miałem umówionych na pewniaka osiem recenzji, ale w druku ukazały się tylko dwie", a że podejrzany, to nawet wynika ze stylu przytoczonej sentencji. „Na pewniaka"!

Propozycja Juliusza Mieroszewskiego godzi przede wszystkim w godność krytyki. W pojęciu krytyki leży pełnia swobody, wolności od powiązań, zobowiązań i związań. Krytyka to jest umiejętność i osobisty charakter. Dla pisarza krytyk powinien być głosem sumienia. Krytyk sprzedajny, to contradictio in adiecto. Coś jak sędzia w roli adwokata. Propozycja „Kultury" dowodzi, jak bardzo panowie redaktorzy i dziennikarze nie rozumieją roli i znaczenia krytyki.

Lekceważenie jej przez redaktorów spowodowało usychanie i uwiąd krytyki na emigracji. Najgorszy pisarzyna cieszy się większą estymą niż najlepszy krytyk. Im lichszy pisarz, tym bardziej pomiata krytyką. Grafoman w ogóle nic sobie z niej nie robi. Wielu pisarzom wydaje się, że krytyka jest rzeczą tak prostą, iż wypisują sobie wzajemnie przy byle okazji słodko-kwaśne laurki, obniżające wartość i godność krytyki. Oceny te bezmiarem frazeologii przypominają zdanie z artykułu Mieroszewskiego: „Dolina Issy"... wyróżnia się... muzyczną budową atmosfery... Jest wtopiona bez reszty w muzyczną kadencję miłoszowskiej prozy. „Temat" i „wątek" są tu tylko jednym z elementem akordu i niczym więcej". Gwałtu! Mieroszewski to świetny publicysta i nie o złośliwości chodzi, lecz o niekompetencję. Cóż bowiem te muzyki mają wspólnego z robotą literacką i co to znaczy „muzyczna kadencja miłoszowskiej prozy"? Boć kadencją w stylistyce nazywa się rytmikę i akcentowanie wyrazów w obrębie poszczególnych zdań, wedle pewnych zasad. Ale cóż to takiego „kadencja prozy"?

Glossę do wystąpienia Mieroszewskiego znajdujemy w dziale „Między plotką i anegdotą" „Orła Białego" (z 22. 10. 55). Tamże znajdujemy dowód, w jakiej bezbrzeżnej pogardzie ma prasa emigracyjna krytyków. Autor ujmuje obraz krytyki emigracyjnej w następującej alternatywie: „Oczywiście brak recenzyj lub ich tragicznie niski poziom, jest sprawą i zagadnieniem prawdziwie bolesnym". Któż by miał ochotę wobec takich twierdzeń spełniać rolę krytyka? Milcząc, chociaż się nie naraża, pisząc, zyskuje dla swej pracy epitet „tragicznie niskiego poziomu".

O pogardzie dla krytyki na emigracji świadczy jej służebne traktowanie. Krytyk, to wedle rozpowszechnionych pojęć, jakby lokaj w salonach literackich. Skoro się nie ukazuje na każdy dzwonek wydanej książki, tupie się nań nogą i wymyśla. „Dlaczego Jan nie napisał jeszcze, choć książka wyszła miesiąc temu? Co to ma znaczyć?" Juliusz Mieroszewski ma łagodniejsze serce: uważa, że trzeba lokajom podwyższyć wysługę.

Nie, panowie redaktorzy i dziennikarze! Krytyka jest sztuką trudniejszą niż tzw. „czysta" literatura, z czego nie wynika, aby była większą i ważniejszą. Ale jest trudniejszą. Wymaga pewnej sumy wiedzy, której nie zastąpi wrodzona bystrość i łatwość składania dziennikarskich frazesów. Krytyka dlatego tak rzadko się tu odzywa, bo rzadko ukazują się książki na krytykę zasługujące, rzeczy, o których w ogóle jest coś do powiedzenia. „Tragicznie niski poziom" zdarza się i poza krytyką.

Nie jest też zgodne z rzeczywistością to, co pisze Juliusz Mieroszewski, jakoby „na emigracji nawet dobre książki mijały bez echa". Książka polska wydana poza Krajem rozchodzi się przeciętnie w dwu tysiącach egzemplarzy nakładu, tj. w takiej mniej więcej ilości jak przeciętna książka angielska, francuska czy niemiecka we własnym kraju. Całkiem inna sprawa z książkami w krajach sowieckich, gdzie sieć upaństwowionych bibliotek zapewnia powodzenie upaństwowionym wydawcom i upaństwowionym autorom z ich upaństwowionymi tematami i tendencją. Książka polska na emigracji rozchodzi się wyjątkowo dobrze.

Niesłuszne jest wreszcie rozpaczanie nad rzekomo zupełnym brakiem recenzji. Zwracaliśmy nieraz uwagę, że istnieje, owszem, na emigracji niezdrowa zawiść konkurencyjna instytucji wydawniczych i podległych im organów prasowych. Jej najbrzydszym objawem jest przemilczanie sposobem strusi, że się nie wie o istnieniu i pracy drugich. Juliusz Mieroszewski np. bodaj nigdy nie miał egzemplarza ŻYCIA ani żadnego z trzydziestu tomów „Biblioteki Polskiej" w ręku, albo udaje, że nie miał, co mu nie przeszkadza ferować wyroków w rodzaju, że powieści „Dolina Issy" i „Droga donikąd" przeszły bez echa. W rzeczywistości nie ma bodaj na emigracji pisma, które by nie zamieściło omówienia książki Józefa Mackiewicza, a i rzecz Miłosza ma wyjątkowo dobrą prasę.

Klucz zagadnienia znajduje się, naszym zdaniem, w ręku redaktorów czasopism. Muszą oni przezwyciężyć niechęć do krytyki, której domagają się pisarze i czytelnicy. Powinni podejść poważnie do posyłanych im z anielską cierpliwością książek, które toną w kurzu redakcyjnym. A redaktorzy, owszem, niechże sowicie płacą krytykom. Redaktorzy, nie wydawcy!

Wydawcy niech płacą autorom.

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.